

TYGODNIK ILLUSTROWANY



POBOŻNI SŁUCHACZE W GÓRACH

Malowidło ścienne E. GEBHARDA

Próba syntezy ducha rosyjskiego.

Historia Rosji, jako państwa politycznego, obejmuje już długie wieki, ale historia narodu rosyjskiego zaledwie że się zaczęła. Jest to fakt, o którym trzeba koniecznie pamiętać, jeżeli się chce wnioskować o charakterze czynów wielomilionowego ludu, co się budzi, co się tworzy.

Mało kto jednak na to zwraca uwagę, pisząc o Rosyanach. To też w różnych pracach o nich fantazja autorów buja z najzupełniejszą swobodą. Z równą łatwością mówi się o ich wielkiej przyszłości, jakoteż o ich nihilizmie, barbarzyństwie, anarchizmie, mistycyzmie, lub wprost o słynnej i u nas „improductivité slave“. Piszę się wogóle o rzeczy, której się nie zna i znać nie może, o czemś bardzo świeżem i tajemniczym, o duszy, która nigdy jeszcze nie miała sposobności przejawić swojego własnego, zupełnie wolnego czynu, swojej niczem—brutalnie zewnętrznem—nie krępowanej myśli. To tak, jakby się wnioskowało o książkę, którą autor zamierza dopiero napisać, lub o takiej, którą pisał w gorączce więziennej.

Bo czemże był początek historii narodu rosyjskiego w przeciągu ostatnich stu lat?

Szamotoaniem się pomiędzy dwoma nieubłaganymi ścianami, co dławili pierwsze zarodki samowiedzy narodowej: biurokracją u góry i ciemnotą mas u dołu. Do dziś dnia wyłamano zaledwie drobne szczyby w ponurem sklepieniu tego olbrzymiego więzienia, uczyniono zaledwie drobne podkopy, którymi blade światła wchodzą, i tem czarniejsze wydają się ciemności w groźnej kamracie, tem okropniejsze obrazy snują się po mózgach tych, co już widzą i co szukają ratunku dla siebie i dla milionów, gniojących się w tej dusznej nocy nawzajem. Do dziś dnia więc istnieją przyczyny dalszych szamotań się, walk heroicznych, których celem być musi obalenie tych ścian, które życie uczyniły niepodobnem do zniszczenia. Inaczej mówiąc: celem uświadomionych już cząstek ludu rosyjskiego jest wytworzenie nowych warunków, w którychby życie rosyjskie wydało plon, nie skoszlawiony przez piwniczny rozwój w kamracie, i wzbudziło czyn wolny, czyn swobodnie płynący z głębin jego ducha, a to do dziś dnia było niemożliwością. Dla stworzenia zaś nowych warunków dzieje się wciąż w Rosji to, co złudziło niektórych krytyków europejskich i kazało im widzieć w duchu rosyjskim „nihilizm“ i „anarchię“.

Złudzeniu temu podległ również autor nowej książki, traktującej o Rosji, p. T. Nalepiński. *) Książka ta z tego względu jest ciekawa, że zawiera owe ostre zarzuty podniesione do wyżyn tajemniczych przeznaczeń dziejowych. Autor wierzy, iż odgadł „Króla-Ducha Rosji“—ducha ludu rosyjskiego—że jest nim „pęd do samozniszczenia“, że nadejść musi w Rosji „geniusz czynu samozniszczenia“—na wstępie zaś książki zazna-

cza, że traktować ma ona „o fazach świadomości niszczycielskiego Boga Rosji“.

Oczywiście, iż w wywodach swoich p. Nalepiński oprzeć się musiał jedynie na tych stu latach budzącego się życia rosyjskiego, o których mówiłem wyżej.

Jakim więc sposobem mógł wziąć te krwawe walki o wyzwolenie, ten wspaniały, pomimo wszystko, rozkwit literatury, nauki, malarstwa, muzyki, nauk społecznych, ekonomicznych i politycznych, za „pęd do samozniszczenia“? Tembardziej zadziwiać to musi, że sam autor pisze: „Idea wyzwolenia, poczęta z protestu przeciw niewoli włościan jeszcze w końcu XVIII-go wieku, jest przewodnią ideą literatury rosyjskiej, która od poczęcia jej początek swój bierze“; dalej zaś zaznacza całą siłę jej protestów, a więc całą siłę jej chęci zniszczenia zła, to zaś jest wcale inną sprawą, niż „samozniszczenie“.

Opisując dalej naogół bardzo trafnie dzieje pierwszej myśli rosyjskiej, „słowianofilów“ i „zapadników“, autor wykazuje dużą erudycję, błyska niekiedy subtelnym talentem krytycznym i—rzecz ciekawa—doskonale pojmuje, czem był właściwie tak zwany „nihilizm“. „A więc—czytamy na str. 45—był walką w imię bezwzględności indywidualizmu, walką o wyzwolenie myśli z więzów wszystkich tradycji, dalej walką o wyzwolenie klas pracujących z ekonomicznej niewoli. Nazwę swą specjalną, tak egzotycznie brzmiącą, otrzymał za charakter negacyjny, bynajmniej nie będąc jeszcze destrukcyjnym“. „Był ruchem zdrowym, nieskończenie wiele obiecującym, zanim...“

Tu musimy przerwać, bo to, co następuje, zawiera jeden z zasadniczych, a błędnych zupełnie dowodów „niszczycielskiego“ charakteru „Boga Rosji“. Otóż: „zanim—czytamy dalej—logika Króla-Ducha *) nie zmusiła go do przesiania przez sito demonicznych wątpliwości wszelkich zdobytych prawd kosmicznych, ludzkich i narodowych“.

Jeżeli tak jest istotnie, to trudno chyba o wspanialszy dowód *twórczej* potęgi ludu rosyjskiego—twórczej, nie zaś „niszczycielskiej“. „Przesiać przez sito demonicznych wątpliwości wszystkie prawdy zdobyte, to znaczy być narodem krytycznie twórczym, czyli przejść przez tę samą męczenną drogę nieubłaganych analiz, jaką przeszedł Duch narodów Zachodu. Rosyjanie analizy te przeprowadzają w sposób zupełnie samorodny, czyli twórczy. Że sceptycyzm krytyka jest drogą do prawdy, do odkryć naukowych, do ujarzmienia natury, do stworzenia sobie broni we wszelkiej dziedzinie życia, tego już chyba w XX w. dowodzić nie trzeba. Gdyby nie było

*) P. Nalepiński używa terminu: „Król-Duch“, który u Słowackiego był ostatecznym wyrazem jego kosmicznej idei „ofiary“, przeprowadzonej w „Genezis z Ducha“ przez wszystkie twory natury, do określenia Ducha narodu rosyjskiego, w pojęciu autora—niszczycielskiego. Jest to niewątpliwa dowolność, która mogłaby wpłynąć na zaciemnienie pojmowania wielkiego poematu polskiego.

Hume'a, nie byłoby może Kanta. „Demoniczne zwątpienia“ rosyjskie dowodzą tylko faktu, który już podkreślałem, pisząc o Andrejewie: że Rosyjanie ze śmiertelną powagą traktują życie i jego zagadnienia, że jest to naród, mający całą żywiołową bezwzględność rozumowań natur świeżych, pierwotnych, że, jak u bohatera „Mroku“ Andrejewa, myśl Rosyjanina pracuje ciężko, powoli, ale, raz w ruch wprawiona, miazdzy wszelkie przeszkody z siłą nieubłaganą i zdąża wprost do czynu.

Chętnie się zgodzę z p. N., który powtarza za Mereżkowskim, iż „nigdy pod hasłem chrześcijańskiej pokory, godzenia się z losem, cierpliwości, nie została przemycną kontrabanda z bardziej wybuchowych materii“, niż u Dostojewskiego w „Winie i karze“. Ani na chwilę nie zaprzeczę, że w Dostojewskim wogóle przeważał duch „negacji“, czyli krytyki, nad „białym“ chrześcijaństwem, którego się głosił wyznawcą i apostołem. Ale ani jego przewspaniałe wizje z powieści „Bracia Karamazow“, ani stworzenie „nadczołowieka“, ani jego otchłanne spojrzenia w duszę, poza złem i dobrem, w „Biesach“, ani moc ateistycznych dowodów, nie usposabiają mnie bynajmniej do mniemania, że mam przed sobą „krzyk świadomości niszczycielskiego ducha“. Nie. Widzę tylko olbrzymia, który geniuszem swoim, wbrew nawet własnym narzuconym wierzeniom, przeczuwał, że stare prawdy, które świat żyje dotychczas, się wala, że ludzkość krzyczy o nowe. Przecież to samo czynił Nietzsche, chyba zaś jego nie zaliczy p. Nalepiński do rosyjskich „duchów zniszczenia“, jak również Słowackiego, z którym obydwaj ci ludzie tyle mają wspólnych myśli! A przez myśli te ludzkość będzie musiała przejść, by się dalej rozwijać.

Dalsze konsekwencje poglądów p. N. doprowadzają do fałszywego oświetlenia niektórych dzieł Gorkija i Andrejewa. „Bosiackie“ powieści pierwszego i nieubłagane dramaty drugiego miały jeden cel wspólny, którym żyje literatura rosyjska od lat stu: krzyk protestu przeciw potęgom sprzymierzonym zła i ciemnoty, i przeciw poniewieraniu człowieka.

„On idzie“—taki tytuł jest książki p. N., tytuł, wzięty z ostatnich słów „Sawwy“ Andrejewa: „On idzie, wolny człowiek! on narodził się w płomieniach. On sam—płomień i niszczenie! Koniec ziemi niewolniczej!“

Czyż te słowa nie jasno tłómaczą się same przez się? Czyż jest coś prostszego nad pojęcie, które stało się hasłem Kościuszki: „Wolność, lub śmierć“? Czyż trzeba koniecznie zaciemniać szumem wielkich słów o „demonicznych żądach samozniszczenia“ to, co jest wyrazem buntu, rozpacz i bólu? Czy zresztą, jeżeli autor kładzie nacisk na krytykę idei wolności u Dostojewskiego (w „Inkwizytorze“), krytyka ta nie jest tylko dowodem metafizycznego ujęcia człowieka, nie zaś „samoniszczących“ idei? Andrejew w tym względzie rozwija lub tylko powtarza metafizyczne poglądy, a raczej metafizyczne

*) *On idzie! Rzecz o Królu-Duchu Rosji.* Napisał Tad. Nalepiński. Skład główny w księgarni G. Gebethnera i Spółki. Kraków, 1907.

przecucia Dostojewskiego. Cały zaś duch Rosyi, pamiętajmy o tem, czuje nad sobą ciężkie wieko, którego zwalić dotychczas nie potrafił, pod sobą zaś ma olbrzymią ciemną, nieruchawą masę. Rosyanin nigdy jeszcze nie był wolnym. Cóż dziwnego, że tak spętany duch zijeje krwawemi wizjami? Nie sądzmy go takim, jakim jest teraz, oszalały z bólu i tęsknoty, skrwawiony od walki. Przypomnijmy, że Francja przed rewolucją i podczas rewolucyi nie tylko że równie efektowne wizje i rzeczywistości dała światu, lecz nawet o wiele krwawsze i bezwzględniejsze. Francja zaś nie jest „Bogiem zni-

szczenia“... A nawet potomkowie „biczów bożych“, Tamerlana i Dżyngischana, lub ich krewniacy, a więc Japończycy i Turcy, zdolnymi się okazali—po wiekach—do twórczości. A przecież oni naprawdę byli niszczyicielami, bo niszczyli kulturalne ludy, nie zło—i niszczyli realnie, nie w wyobraźni. Niszczycielami tylko, że byli barbarzyńcami i że posiadali moc i odwagę. To, że rosyjscy chuliganie sprawiają „pogromy“, to, że są jeszcze na poziomie rozwoju dawnych Hunnów i Tatarów, tylko bez ich odwagi, nie powinno autorowi nasuwać „ezoterycznych“ podobieństw z szczytami myśli ludzkiej,

z pismami Dostojewskiego. Innego to rodzaju „niszczenie“...

Wyświetlenie tej całej kwestyi było, jak widzimy, niezbędnem, tembardziej, że książka p. Nalepińskiego, mając za sobą tradycyjny, ustalony już w niektórych kołach, „nihilistyczny“ pogląd na Rosyę, napisana jest z niewątpliwym talentem, przy zbytniem tylko zamiłowaniu do kwiecistej frazeologii, że zawiera wiele poszczególnych, trafnych uwag i wiadomości. Mogłaby więc prowadzić do fałszywych wniosków.

JAN KLECZYŃSKI.



POCHÓD ŚMIERCI

G. SPANGENBERG

ZYGMUNT SACHNOWSKI:

NIEZNANE PAMIĘTNIKI.

W liczbie papierów, przechowywanych w archiwum państwa w Petersburgu, znajdują się nieznane pamiętniki Stanisława Augusta Poniatowskiego. Pamiętniki te znaleziono między dokumentami, pozostałymi po śmierci króla (12 lutego 1798 r.) w apartamentach pałacu Marmurowego, w którym Stanisław August mieszkał w Petersburgu.

Z „protokołu o zdjęciu pieczęci“ (Arch. państw., rozdz. XII, Nr. 272), nałożonych na pokoje króla w dzień śmierci jego przez hr. Mnischę, okazuje się, że marszałek, ks. Repnin, kanclerz ks. Bezborodko i ks. Sergiusz Rumiancew, upewniwszy się, że pieczęcie są nienaruszone, zerwali je, a po przejrzaniu rzeczy, książek, map i papierów, należących do króla—niektóre z nich odłożyli, w celu szczegółowego przeczytania. W skorowidzu, dołączonym do owego protokołu, zaznaczono pod Nr. 24: „Pamiętniki króla Stanisława Augusta—tomów 2“ i pod Nr. 25: „Pamiętniki króla Stanisława Augusta—tom. 8“.

Jak wskazuje notatka własnoręczna króla na tomie pierwszym, król rozpoczął pisanie pamiętników w r. 1771 i prowadził je ze znacznymi przerwami; drugą część rozpoczął dopiero w dziesięć lat po zaczęciu pierwszej. W dziale dy-

plomacyjnym głównego archiwum petersburskiego ministerjum spraw zagranicznych zachowane są papiery jednego z sekretarzy króla Stanisława Augusta—Chrystyana Wilhelma Fryzego. Z papierów po Fryzem dowiadujemy się, że całe 10 tomów memoarów pisał on pod dyktandem króla i że po śmierci Stanisława Augusta, Fryze doręczył Repninowi 8 oprawionych tomów, które, wskutek polecenia Najwyższego, przeszły do gabinetu cesarskiego.

Dnia 7 stycznia 1832 r. cesarz Mikołaj I przesłał przez kanclerza państwa do archiwum państwowego dwie opieczetowane paczki, przechowywane w archiwum pod Nr. 17 i 18. Wskutek żądania zwrócono je na pewien czas Cesarzowi, który odesłał je 23 stycznia 1841 r. Stanowiły one wtedy jeden pakiet, na którym Cesarz własnoręcznie napisał, aby koperty nie otwierano bez specjalnego na to pozwolenia. Od tego czasu pamiętniki spoczywały w archiwum pod Nr. 28—do r. 1891. W tym roku cesarz Aleksander III obejrzał je, a następnie zwrócił z poleceniem pilnowania po dawnemu. Obecnie, wskutek rozkazu Najwyższego, paczkę otworzono.

Znaleziono w niej osiem oprawnych w skó-

rę tomów pamiętników króla Stanisława Augusta. Tom pierwszy zawiera opis pierwszej podróży króla do Petersburga; w drugim opisuje król pobyt przy dworze cesarzowej Elżbiety Piotrowny w latach: 1755, 1757 i 1758, do chwili zupełnego wyjazdu z Rosyi; trzeci kończy się wezwaniem na tron polski. Pozostałe pięć tomów zawierają historię Polski do r. 1778. Pamiętniki Poniatowskiego kreślone są cudzą ręką, w języku francuskim. Król poprawiał je własnoręcznie. Papier do pamiętników wyrabiała papiernia królewska. Na każdej stronie wybity jest znak wodny „S“, ozdobiony koroną.

Dalsze szczegóły, dotyczące pamiętników i dłuższe z nich wyciągi opisane są w czasopiśmie petersburskiem „Więstnik Jewropy“ (styczeń, luty, marzec 1908 r.) przez p. S. Goriainowa. Tutaj zamieścimy tylko kilka charakterystycznych wyjątków z pamiętnika, a więc przedewszystkiem z tomu pierwszego, w którym król obrazuje młodość swoją, do chwili wyjazdu do Rosyi.

* * *

„Po skończeniu oblężenia Gdańska—pisze Stanisław August—rodzice moi przywieźli mnie

do tego miasta *). Miałem wtedy trzy lata. Matka, z domu Konstancya Czartoryska, zajęła się sama moim wychowaniem z tym nadzwyczajnym taktem i rozumem, z którego słynęła, jako wychowawczyni moich starszych braci. Na mnie zwracała jeszcze większą uwagę. Ta godna podziwu kobieta nie tylko uczyła mnie połowy przedmiotów, wykładanych przez nauczycieli, lecz dołożyła także wszelkich starań, aby zahartować duszę moją i rozwinąć we mnie dążności wyższe, które oczywiście oddaliły mnie wkrótce od zwykłego świata dziecięcego, lecz jednocześnie przyczyniły się do wielu braków we mnie. Uważałem siebie za wyższego od moich rówieśników, po części dlatego, że nie robiłem tego, co było uważane za przekroczenie z ich strony, a również dlatego, że rozumiałem wiele więcej, niż oni. Stałem się maleńką, bardzo pyszną istotą. Ogólna niedoskonałość wychowania w Polsce pod względami: naukowym i moralnym, podniecała matkę do usuwania mnie od tych, którzy mogliby dać zły przykład. Wpłynęło to na rozwój mej duszy zarówno szkodliwie, jak dobroczynnie. Wobec otoczenia, składającego się z ludzi zrównoważonych, nigdy z nikim prawie nie mówiłem; otoczenie zaś moje uważało to sobie za obrazę. Zyskałem przywilej robienia sobie wrogów—już w piętnastym roku życia. Wchłonałem i żywiłem nienawiść do każdego kłamstwa; wskutek niedojrzałego wieku i mego stanowiska, nadzwyczaj silnie rozwinęło się we mnie uczucie nienawiści do wszystkiego, co było podstępem, lub półśrodkowem. Nie miałem czasu być dzieckiem. Zupełnie, jakby kwiecień wyrzucono z miesiący roku.

„Dopiero teraz widzę, że jest to brak nie do darowania. Mogę się na to skarżyć, ponieważ skłonność do melancholii, której skutki z przykrością odczuwam, ma źródło w tym nienaturalnym i wczesnym rozwoju. Wychowanie nie zabezpieczyło mnie od błędów, które były mi przeznaczone, lecz wyrobiło ze mnie entuzjastę. Wskutek wrażliwości i żywej wyobraźni, skłonny

*) W r. 1734 Gdańsk był obleżony przez wojska rosyjskie. W mieście zamknął się król polski, Stanisław Leszczyński. W liczbie jego sojuszników był ojciec Stanisława Augusta, Stanisław Poniatowski. Polecił on przywieźć syna do Gdańska, do siebie.

byłem do zachwycania się bez granic tem, co było, lub zdawało się być godnym szacunku, lub pochwały. Odnosiło się to zarówno do ludzi, jak do przedmiotów. Ten sam entuzjazm zmuszał mnie równocześnie do poddawania ostrej krytyce i prawie nienawiści wszystkiego, co zasługiwało, według mnie, na pogardę.

„W szesnastym roku życia umiałem bardzo wiele, jak na swój wiek; byłem szczery, bardzo



STANISŁAW AUGUST PONIATOWSKI.

posłuszny względem rodziców, których, podług mnie, nikt nie mógł przewyższyć. Pochłaniała mnie myśl, że ten, kto nie jest Arystydesem, lub Katonem, powinien uważać się za nic. Byłem wtedy wzrostu małego, krępy, niezgrabny, wyglądu niezdrowego, a pod wielu względami wyglądałem, jak „arlequin sauvage“. W takim stanie wysłano mnie po raz pierwszy w podróż“.

Ojciec Poniatowskiego, uznając życie wojskowo-obozowe za najlepszą szkołę dla wyrobienia charakteru, wysłał w r. 1748 młodego Stanisława Augusta z wojskami rosyjskimi, pod dowództwem ks. Repnina, do Akwizgranu. Przed odjazdem młodzieniec musiał dać słowo rodzicom, że nie będzie grał w karty, że do ust nie weźmie żadnych napojów wyskokowych i nie ożeni się przed skończeniem lat trzydziestu.

„Pozostałem—pisze Stanisław August—wier-

ny obietnicom. Ustrzegły mnie one od nadmiernego używania trunków, któremu ulegało wtedy całe społeczeństwo polskie“.

Po wielu podróżach przybywa Stanisław August w r. 1749 do Berlina, gdzie poznał się z kawalerem Williams'em, ówczesnym ambasadorem angielskim przy dworze pruskim. Williams polubił i „oswoił“ Poniatowskiego. W r. 1750 Williams, wskutek polecenia króla Grzegorza, wyjechał do Warszawy, aby być obecnym przy otwarciu sejmku przez Augusta III. Tutaj Williams zawiązał bliższe stosunki z ks. Czartoryskim i wziął pod swoją opiekę osiemnastoletniego młodzieńca, Poniatowskiego.

„Znajomość moja z ambasadorem angielskim—pisze Stanisław August—była bardzo ścisłą i stała się powodem tego, że w wyższych towarzystwach zyskałem powagę i znaczenie człowieka wpływowego. Było to nieodpowiednie do mego wieku i niepozornej powierzchowności, która zaczęła się rozwijać dopiero w tym roku“.

Uczestnicząc w podróży króla Augusta III do Drezna, Williams zaproponował Poniatowskiemu prowadzenie korespondencji cyfrowanej, dotyczącej najbliższych spraw Czartoryskich. Następnie sir Williams i Poniatowski podróżowali bardzo wiele: pierwszy z obowiązku, drugi—dla przyjemności, lub w interesach familii. Często spotkania się zbliżyły przyjaciół jeszcze więcej. Wreszcie, w lipcu 1754 roku, Poniatowski wrócił do Warszawy. Na jesieni tego roku przyjechał znowu na sejm król August II w towarzystwie Williams'a. Poseł, żywiąc do króla Stanisława Augusta nadzwyczaj przyjazne uczucia, zażądał od niego słowa, z wiedzą rodziców Poniatowskiego, że jeżeli będzie mianowany reprezentantem króla Grzegorza przy dworze petersburskim, to Poniatowski podąży za nim do Rosji.

Wskutek tego kiedy, w r. 1755 Williams osiadł w Petersburgu, napisał do przyjaciela, że liczy na niego. Rodzice młodego hrabiego, który tylko co, w r. 1755, na wiosnę, otrzymał od króla stolnikostwo litewskie, z całą gotowością chwycili się propozycji i wyprawili syna w podróż. Stanisław August przybył do Petersburga w końcu czerwca 1755 r., już po uroczystej audyencji Williams'a u cesarzowej Elżbiety.

(DN)

Z CYKLU: KRÓLEWNIĘ.

Dałaś mi serce, dałaś duszę całą,
W chwilach zwątpienia byłaś mi ostoją,
A jam miał w tobie gołębicę moją,
Serdeczną, cichą gołębicę białą.
Dzieliłaś ze mną każdą smutku chwilę,
Pośród walk ducha czuwałaś bezsenna,
A gdyśmy snuli mar złote motyle,
Byłaś mi jasna i szczęściem promienna.

Choć mię daleko los od Ciebie rzucił,
Chociaż mię wtrącił w otchłań bólu ciemną,
Ty w złej godzinie zawsze byłaś ze mną,
Łzy srebrne lałaś, kiedym ja się smucił.
A gdym chciał zabić w sobie przeszłość swoją,
Zamienić serce w wielkie popielisko,
Ja, obcy, czułem, żeś Ty jednak moją,
Daleki, czułem, żeś Ty jednak blizką.

A kiedy z mocą, która światy targa,
Nagle się we mnie żądz tysiące sparły,
Na ustach twoich uśmiechy zamarły,

Ale z nich żadna nie wybiegła skarga.
I chociaż życie było Ci łzawnicą,
Choć drżałaś, abym się nie splamił zbrodnią,
Byłaś mi wielką ducha ofiarnicą,
Byłaś mi zawsze mą gwiazdą przewodnią.

I rozplynęła się we łzach ma dusza,
Napróżno pragnąc znaleźć sen w mogile,
W walce daremnej znów uległa sile,
Tej sile, która wciąż pamiętać zmusza.
I póty była samotną i smutną
Jakaś zaklętą niemą skargą rzewną,
Jakaś tęsknicą gryzącą, okrutną,
Aż znów znalazłem Ciebie, o Królowno!

I znowu widzę twoje oczy cudne,
I znowu słyszę twój głos srebrnodzwonny,
I świat twej duszy, gwiazd jaśnie koronny,
I sny twe srebrne łudne, a niezłudne.
I znów z twych oczu w moją duszę płynie
Tęsknota jakaś cudna, a bezdenna,

I znów mi jesteś w marzenia godzinie,
Jak dawniej, jasna i szczęściem promienna.

I nie wiem czemu, gdy na Ciebie patrzę,
Gdy się zatopię w twych oczu błękicie,
Mam taką silną, wielką wiarę w życie,
A chwile zwątpień wciąż dalsze i rzadsze.
Bo z Ciebie wieje taki spokój dziwny,
Takie mi w sercu budzi łyż perłowe,
Jakby twa dusza to był gaj oliwny,
Noszący święte piętno Chrystusowe.

Za te sny cudne, które nad mą głową
Płaczą się w wieńce rubinowo-złote,
Za tę bezbrzeżną za Tobą tęsknotę,
Płynącą w duszę ciszą aniołową,
Za mar wcielonych rozplonione tęcze,
Które mię dzisiaj otaczają wkoło,
Ja dziś przed Tobą, biała, duchem klęczę
I do stóp twoich dumnie schylam czoło.

ZIEMOWIT GLIŃSKI.



BOLESŁAW PRUS:

D Z I E C I

POWIEŚĆ.

35)

Świrski schował do kieszeni list i pomyślał:

— „Władek jest bardzo wrażliwy... Bardzo mocno działa na niego otoczenie. Dziś gotów porozumiewać się z Dębowskim, ale gdy zobaczy rewolucyjne pułki, wyrzeknie się filisterskich poglądów“...

Przed południem, kiedy ludzie zaczęli zbierać się na obiad, a Świrski przechadzał się po dziedzińcu, zbliżył się do niego furman i, zdjawszy czapkę, rzekł:

— Nasz panicz kazał się bardzo pięknie pokłonić jaśnie panu...

— Niby mnie?... — spytał zdziwiony Świrski.

— Jużci, że jaśnie panu... I jeszcze nasz panicz kazał prosić, ażeby jaśnie pan przyjechał do Grudy... Och, poszorowali byśmy!...

I wpatrywał się w niego bardzo życzliwie. Świrskiemu krew uderzyła do głowy, ponieważ nagle zrozumiał, że ten wybuch tkliwości furmańskiej jest—delikatnem przypomnieniem o napiwku... Był tak zmieszany, że, zamiast powiedzieć wprost: mój drogi, oddam ci za parę dni, gdyż w tej chwili nie mam drobnych, czy nie mam pieniędzy, Świrski odwrócił się i—odszedł, zostawiając zdziwionego furmana z czapką w ręku.

Kazimierz po raz pierwszy znalazł się w podobnym położeniu. Dotychczas nigdy nie brakowało mu pieniędzy, nigdy nie był w gościnie czy na łasce ludzi, w dodatku—niższego stanowiska, i jeszcze żaden furman, żaden służący, nie potrzebował przypominać mu o napiwku. A tu jutro wigilia, więc wypadałoby obdarować wszystką służbę, dać im przynajmniej po rublu na osobę... Tymczasem, chociaż doktor wziął od niego kwit na sto rubli, pieniędzy nie było!...

— A niechże licho weźmie Dębowskiego!...—mruknął.

Czuł się okropnie upokorzonym i nie-szczęśliwym. Zdawało mu się, że każdy parobek, który mija go z ukłonem, każda dziewczyna, która spogląda na niego z pół-uśmiechem, pogardza nim i mówi do siebie:

— Taki to i jaśnie pan, co ludziom grosza żałuje!...

Kwadrans wydawały mu się godzinami, godziny dobami. Uciekł do swego pokoiku i coraz wyglądał przez zamrożone okno: czy nie jedzie kto z Żelaznych Hut albo z miasta?... Chwilami miał nadzieję, że przed wigilią dostanie pieniądze, chwilami znowu myślał, że ich nie doczeka nigdy. Może Dębowski zapomniał, może zgubił jego kwit, może nikt nie chce dać stu rubli Kazimierzowi Świrskiemu, którego ściga policja, a może... Może wiozł kto pieniądze do Leśniczówki, ale został napadnięty przez bandę choćby Zająca i ograbiony, jeżeli nie zamordowany!...

Lecz właśnie w chwili, kiedy ogarnęło go najwyższe zwątpienie, zajechał przed dom sekretarz dyrektora Żelaznych Hut i przywiózł Świrskiemu nie sto, ale dwieście rubli, wszelkiego rodzaju monetą papierową i metalową. Zwrócił kwit, wydany Dębowskiemu, a poprosił o nowy, na odpowiednią sumę.

Świrski odetchnął. Sekretarz Hut Żelaznych wydał mu się najprzyjemniejszym mężczyzną, Leśniczówka najpiękniejszym lasem, a służba Linowskich—zbiorem najzacieńszych dziewczuch i parobków, jacy istnieli w kraju. W sobotę zrana dał każdemu i każdej po rublu a furmanowi dwa ruble. Aż błada i osłabiona Linowska z uśmiechem prosiła go, ażeby nie psuł ludzi, a przed sa-

mą kolacją panna Jadwiga zrobiła mu tę pełną znaczenia uwagę:

— Wie pan, o czym teraz mówi nasza służba?... Oho, musi być kiepsko ze szlachtą, kiedy panicz Świrski dał nam taką kolendę... Szczególna forma wdzięczności, nie prawdaż?...

Słowa te niemile dotknęły Kazimierza. Wnet jednak zapomniał o nich pod wpływem radości, jaką sprawiło mu otrzymanie pieniędzy. Na parę godzin przed kolacją, którą zajmowała się panna Jadwiga pod kierunkiem Linowskiej, Świrski poszedł do lasu i znowu utonął w swoich ulubionych marzeniach. Liczba jego fantazyjnych pułków zwiększyła się, ich umundurowanie było jeszcze piękniejsze, broń idealnie doskonała, twarze i postawy jeszcze wyraźniejsze. Widział też i siebie samego na pysznym gniedym koniu, który niecierpliwie wyrzucał głowę i, posuwając się bokiem, roztrącał konie sztabowych oficerów. Wizja była przedziwnie jasna. Świrski widział swoją pelerynę z kapturem, z pod której wyglądał koniec szabli w złoczonej pochwie; na wędzidle niepokojnego rumaka bielila się piana. W tej chwili czuł się wodzem jakiejś nieprzeliczonej armii, choć może był tylko poetą.

Niebawem w umyśle Kazimierza wizja armii skojarzyła się ze wspomnieniem braku pieniędzy i upokarzającymi uczuciami, jakich doznał. To zaś nadało nowy kierunek jego rozmyślaniom.

— „Jednak ważna rzecz pieniądze... — mówił do siebie.—Dziś dopiero zrozumiałem ich piekącą potrzebę!... A jeżeli na mnie brak pieniędzy zrobił takie podłe wrażenie, jeżeli mnie tak zdemoralizował, czemuż staćby się mogły dziesiątki i setki tysięcy żołnierzy i oficerów, gdyby im nagle zabrakło



KAZANIE W GÓRACH

Malowidło ściennie E. GEBHARDTA



CHRYSTUS WYPĘDZA KUPCZĄCYCH ZE ŚWIĄTYNI

Malowidło ścienne E. GEBHARDTA

marnego kruszcu?... Wszakże pieniądz to broń, pieniądz to amunicja, pieniądz to umundurowanie, żywność i obuwie... Pięknie wyglądałoby wojsko w dziurawych butach, przez parę dni nie karmione!”...

Pod wpływem tej nowej pobudki Kazimierz usiłował przedstawić sobie najogólniejsze warunki utworzenia i utrzymania wojska. Przedewszystkiem — naturalnie — pieniądze. Ileż też potrzebaby ich w przybliżeniu? Dobra broń i amunicja, z kosztami transportu, pochłonęłaby co najmniej ze sto pięćdziesiąt rubli na człowieka... Buty, na rok, chyba ze trzydzieści... Umundurowanie i bielizna około sześćdziesięciu... Żywność, lekarstwa, kwatery — ze trzysta rubli na rok. Słowem — jeden żołnierz z uzbrojeniem kosztowałby około pięciuset rubli. Tym sposobem, na przykład, ja mógłbym wystawić ze czterystu ludzi pieszych, może pięciuset... stryj około tysiąca... A po roku coby się z nimi stało?... Musiałby ich utrzymywać kraj... A stutysięczna armia ileby kosztowała?... Chyba ze czterdzieści milionów rubli rocznie, z dodatkiem dziesięciu milionów na uzbrojenie...

A czy kraj mógłby tyle wydawać przez rok, przez dwa a może i więcej? Mógłby, przy dobrych urodzajach, no — i gdyby ludzie bogatsi łatwo mogli dostać gotówkę. Na przykład stryj — musiałby sprzedać swoje dobra i moje, a gdzie kupcy?... Lecz pieniądz to nie wszystko. Oprócz pieniędzy, trzeba

jeszcze ochoty; armia bowiem rewolucyjna musi składać się z ochotników... Lud dostarczy żołnierzy, inteligencja — oficerów, ale o żadnym przymusie nie może być mowy...

Dużo pieniędzy i dużo ochoty!... Dużo ludzi gotowych poświęcić cały majątek, ostatni grosz i mnóstwo takich, którzy bez wahania oddadzą życie za wolność...

O zmroku zaczęli zbierać się goście do uczty wigilijnej. Panna Jadwiga, w imieniu Linowskiej, zaprosiła wczoraj sekretarza zarządu, który, zaraz po przybyciu, wdał się w żywą rozmowę ze Świrskim o polityce. Niebawem zajechał pan Klemens, chłodno przywitał Kazimierza a bardzo czule Jadwigę i tej już nie odstępował. Wnet zadzwoniły sanki podleśnych, państwa Opatowskich, którzy, straciwszy w jesieni dwoje dzieci, nie mieli odwagi na święta zostać w domu i wprosilili się do Linowskiej. W końcu, chłopskie sanki przywiozły młodego praktykanta z Żelaznych Hut i księdza wikarego, który, pokłóciwszy się z proboszczem, przybył na wigilię do Leśniczówki.

Ostatnia ukazała się pani Linowska, osłabiona, mizerna, ale tak zadowolona z gości, że kolacja zeszła wszystkim bardzo wesoło. Przy gąsiorze starego miodu, siedzący obok Jadwigi pan Klemens promieniał, nawet rozpogodziły się twarze Opatowskich, którym ksiądz wikary opowiadał półgłosem jakąś dykteryjkę. Tylko Świrski był zamy-

ślony a energiczna fizioznomia młodego praktykanta nie przestała być ponurą.

Namówiona przez Jadwigę pani Linowska, umoczywszy usta w kieliszku, rzekła:

— Bodajbyśmy na rok przyszły zebraли się tu znowu wszyscy, w komplecie... I bodajbyśmy nareszcie doczekali tych lepszych czasów, na które od tak dawna czekamy...

OPATOWSKI. Pani dobrodziejka będzie miała swój komplet: męża, dzieci, wnuczkę... My nie...

PRAKTYKANT. Nie wiem, czy za rok już będą lepsze czasy...

WIKARY. To prawda... Panno Jadwigo, proszę jeszcze o kieliszeczek...

ŚWIRSKI. Kto ten rok przeżyje, na pewno doczeka lepszych czasów. Chociaż... nie wiem, czy dla nas będą tak dobrymi, jakbyśmy chcieli i — mieć mogli...

SEKRETARZ. Słyszę to od pana już po raz drugi, ale... nie dobrze rozumiem.

LINOWSKA. Niechże pan i nam powie coś o swoich nadziejach.

ŚWIRSKI. Moje przewidywania opierają się na bardzo prostej zasadzie. Od dziś za rok zwycięży rosyjska rewolucja i wprowadzi swój system rządu, więc — będzie nam lepiej... Byłoby jednak bez porównania lepiej, gdybyśmy w tej ostatecznej walce, jaka się zbliża, odegrali rolę sprzymierzeńca, siły czynnej, nie zaś czekali z założonymi rękoma na to, co nam ofiaruje cudza praca i łaska... (DCN)

LIST.

Leży oto przed Tobą, czytelniku, mała, skromna kwadratowa koperta... Z jednej strony widzisz, umyślnie nazbyt wyraźnym pismem wypisane, twoje nazwisko, z drugiej—czerwoną pieczęć...

Ta pieczęć z lakul...

Czy jest wymowniejszy symbol tajemnicy, powierzonej tylko Tobie—niedostępnej zgola dla innych?...

Kryje ją zaledwie wąż, papierowa koperta, a jednak wyczuwasz, że zamyka ona garść cudzych myśli, kawałek cudzej duszy, która się chce otworzyć tylko dla Ciebie... tylko dla Ciebie!...

Więc niegodziwie są ręce, które nie uszanują tego zwyczaju, przemienionego już w jakieś święte, istniejące prawo, i które śmiały otworzyć: cudzy list!...

A teraz oto list, który Ci podano—poznajesz to zaraz po piśmie adresu—pochodzi od drogiej Ci osoby... Jakże rozmaite, nieopisane prawie ogarniają Cię uczucia, gdy bierzesz do rąk tę małą, szarą kopertę...

Jakieś tłumione zadowolenie, czy wprost radość, jakaś dziecinna trochę duma w tym poczuciu pewności, że jest na świecie ktoś, kto się do Ciebie z taką ufnością zwraca, i jakaś słodka, mimowolna za to do życia jakby wdzięczność... Wszystkie zaś te uczucia, zlane w jedno, osnuwają Cię całego jakąś tęcząwą przędzą, a przędza ta wydziela ze siebie miłą woń... Czy nie woń kościelnego kadzidła?...

...Więc przedewszystkiem pragnąłbyś teraz usunąć od siebie całe otoczenie, które wydało Ci się naraz niesłychanie natrętnem i gwarnem, i znaleźć się w spokojnym, cichym miejscu—sam?... Nie sam!—ze swoim listem...

Lekko, drżącymi ze wzruszenia palcami łamiesz pieczęć i otwierasz kopertę, ale, czegoś rozmarzony, wcale się przytem nie śpieszysz.

Zdaje Ci się bowiem, że otwierasz drogocenną szkatułę, w której są twoje własne, i tylko do Ciebie należące skarby: zaklęta w słowa droga myśl i bliska Ci bardzo dusza...

I czujesz już koło siebie obecność osoby, której myśli czytasz teraz tak wyraźnie, jak-gdybyś rozmawiał z nią samą. Ale o ileż więcej, o ileż szczerzej mówią do Ciebie słowa listu, niżby mówiły żywe usta! O ileż jaśniej wypowiedzieć się umie ta, onieśmielona czasem jakby twoim widokiem—ludzka istota!... Składa oto przed tobą wrażeń swoich sam kwiat, a ty dobrze odczuwasz, jak kwiat ten rozchyła zwolna kielich, aby wonią swą Cię upoić...

Więc przebiegasz chciwym wzrokiem ciekawe, drogie wiersze, raz, drugi, trzeci, i dziwisz się prawie, że te same słowa stoją jeszcze... że nie rozwiało ich złudzenie... że, utrwalone na papierze, brzmieć Ci będą, niby słodka, cicha muzyka—wiecznie...

O, bądźcie błogosławione

nikłe, czarne litery, niby na sznurek nanizane cenne paciorki, które sprawiacie, że świat wydaje nam się chwilami lepszym, piękniejszym, a życie wonnem i jasnym!...

A czy zdarzyło Ci się, czytelniku, żeś po wielu, wielu latach zajrzał do jednej, najgłębszej szuflady twojego biurka?...

I znalazłeś tam dużo, tak dużo dawnych, pisanych do Ciebie listów!...

W pierwszej chwili objąłeś obojętnym spojrzeniem tę zapyloną masę białych i kolorowych, przez czas wypłowiałych kartek... Nie masz dziś czasu!... Chcesz zamknąć śpiesznie szufladę, szukając czegoś innego, gdy nagle skoczyło ci coś prosto do oczu, z rozpaczonym krzykiem...

Kilka liter, jakieś wyrazy, jakieś dawno niesłyszane imiona, dźwiękły nagle echem w twojej pamięci, dawno przebrzmiałe opowieści.....

Bierzesz więc poźólką kartkę do ręki i nie możesz się już z nią rozstać... A za nią idzie druga, trzecia, czwarta... I zwolna przesuują się przed rozbudzoną twą pamięcią całe szeregi osób i całe okresy twego życia... Dzieciństwo twoje „sielkie-anielskie“ i młodość „górna, lecz chmurna“...

Drżącą, niecierpliwą ręką czerpiesz wciąż

dalej, z tych zapyłonych, starych kartek. Czasem wypadnie z nich zaschły kwiatek niezabudki i rozleci się na twych kolanach w proch; czasem migśnie zblakły jedwab wstążeczki, jakaś ogołocona z listków gałązka ślubnego mirtu rozkruszy się w twych palcach...

Więc usta twoje rozchyła smutny, tkliwy uśmiech—do tych cieniów, które nagle otoczyły Cię w krąg, i masz ochotę przycisnąć nieraz do rozpalonych warg te nikłe listki, zapisane ręką, od której dzieli Cię dzisiaj szeroki świat, lub cichy, zimny grób.. Zwolna zegary poczynają bić północ, a potem godzinę pierwszą, drugą, a ty nie próbujesz nawet przerwać twej pracy, tak chwile mijają ci szybko a słodko, wśród dawnych, dobrych znajomych... I dopiero żółte dno wypróżnionej szuflady przywodzi cię do rzeczywistości.

Ale równocześnie przychodzi postanowienie...

Te słowa, te kartki, te osoby i te wspomnienia należą tylko do Ciebie, nie chcesz więc, aby po Tobie szperały w nich obce ręce i czytały drogie Ci zwierzenia obce, obojętne oczy. To byłoby świętokradztwem, profanacją!...

Opuszczasz bezradnie wzdłuż bioder ramiona, walcząc jeszcze czas pewien z uczuciem przegłębokiego żalu i smutku... I wstajesz potem z krzesła, wolno, leniwie, jak człowiek chory, lub jak lunatyk...

Nerwowo, z jakąś głuchą determinacją, zbierasz całe garście szeleszczących papierków, i układasz je w kominku na jeden stos...

A potem przysuwasz zapalkę...

Płomienne języki ognia zaczynają po nich tańczyć jakąś szaloną, żywiołową farandolę—a ty siadasz na fotelu tuż, obok, i z zapartym oddechem śledzisz tę śmierć, zadaną zda się twą ręką jakiemuś życiu...

Kartki kurczą się naprzemian i prężą. Czasami roztworzą nagle swe tajemnicze wnętrza, jakby bronić się chciały przed zagładą ukazaniem ci jeszcze drogiego imienia... Czasem znów słowa na czerniałej, strawionej całkiem przez ogień stronie zaświecą płomiennymi zgłoskami czyjegóż pożegnania i—ściemnieją, jak gasnące o świtanie gwiazdy!... Biedne listki drżą jeszcze chwilę nerwowo, przejęte śmiertelnym strachem agonii, wybuchną sykiem ostatniej skargi, zaszepeczą namiętną mocą zawartych w nich słów miłości—aż rozlecą się całkiem w ciemny i martwy pył...

A ty patrzysz wciąż jeszcze na nie, z sercem skurczonym w twardy kłębek, i suchemi, przesmutnemi oczyma żegnasz się z nimi—na zawsze!...

I zastaje Cię tak, siedzącego nad tem autodafé, liliowy brzask, — wysłannik „Nowego dnia“...

Bo w życiu przemija wszystko...



Rys. ANTONI KAMIEŃSKI

Ale są listy... całkiem inne listy, co jak jadłowite gady wszczepiają w spokojnych, szczęśliwych ludzi—gorycz trucizny!... Kainowa chyba zrodziła je dusza, i spodłona całkiem podyktowała ludzka myśl...

To „Anonim“!...

I masz wrażenie, jakobys idąc znaną Ci,

równą i bezpieczną zazwyczaj drogą, nastąpił stopą na łeb jadłowitej zmił... Niespodziewanie przejął Cię oto dotkliwy ból—ale daremnie otrząsas za wstrętem swe ciała!...

Oblepił je już śliski jad żądła — trucizna przedostała się w całą twą krew—i poraziła nawet serce...

Więc kurczysz się w bólu i męce, szarpany podejrzeniami, jak Prometeusz, czekając napróżno wyzwolenia... Ono bowiem nie przychodzi nigdy.

Jedyną pociechą będzie ci wtedy mądra, odwieczna księga Koranu, która mówi tak:

— Niechaj wnet uschnie dłoń, która podnosi miecz na bezbronno!... V.

WŁADYSŁAW ST. REYMONT:

CHŁOPI. LATO.

35

— Bo choćbyś mi nawet u nóg skamlał to nie wyjdę.

— Juści, czasu ci nie starczy, do tylu musisz co noc wychodzić...

— A żebyś skapiał, kiej ten pies! — skoczyła w pola, na przelaj.

Nie pogonił jednak, ni nawet zawołał za nią, widząc jak leciała przez zagony, kiej cień, i przepadła pod sadami; przecierał tylko oczy, kieby ze śpiku, a wzdychał markotnie.

— Zglupiałem już do cna! Jezu, dokąd to baba może zaprowadzić.

Było mu czegoś dziwnie wstyd, gdy wracał do chałupy; nie mógł sobie darować tego, co się stało, i srodze się tem gryzł i męczył.

Pościel gotowa już czekała na niego w sadzie, w półkoszkach, gdyż w izbie nie sposób było wyspać z powodu gorąca i much.

Ale nie zasnął; leżał wpatrzony w dalekie migoty gwiazd i, nasłuchując cichych stapań nocy, rozważał se o Jagusi.

— Ni z nią, ni przez niej! Ażebyś! — zaklął z cicha, i wzdychał żałośnie, i przewracał się z boku na bok, i odrzucał pierzynę, stawiając nogi na chłodnej, orosiałej trawie, ale śpik nie przychodził, i myśle o niej nie ustawały ni na to oczymgnienie.

Któreś dziecko zapłakało w chałupie i zamamrotała cosik Hanka; uniósł głowę, ale po chwili przycichło, i znowu opadły go deliberacye i szły przez niego, kiej te wiośniane, pachnące zwiewy, kolebiące dusze słodkimi spominkami; ale już się im nie dał w niewolę, a nasprzeciw, rozglądał się w nich trzeźwo, że w końcu przyszedł do tego, co sobie rzekł uroczyście, jakby na świętej spowiedzi:

— Raz temu musi być koniec! Wstyd to i grzech! Coby to znowu ludzie pedzieli! Dyc ociec dzieciom jestem i gospodarz. Musi być koniec.

Postanawiał, ale było mu jej żal, nieopowiedzianie żal.

— Niech se jeno człowiek raz jeden pofolguje, a już się tak pokuma ze złem, co go i śmierć nie rozdzieli! — medytował gorzko i górnio.

Świt się już robił, całe niebo przyodziewało się kieby w te zgrzebne gzo, ale Antek jeszcze nie spał, zaś kiej biały dzień jął mu zazierać w oczy, przyleciała go budzić Hanka. Podniósł na nią schmurzoną twarz, lecz taki dziwnie był la niej dobry, że

skoro mu opowiedziała, z czem to wczoraj przychodził kowal późnym wieczorem, pogłaskał ją po nieuczesanych włosach.

— Kiej się udało ze zwózką, to ci już cosik kupię na jarmarku.

Rozradowała się taką łaską i dalejze molestować, aby też kupił oszkloną szafę na talerze, jaką miały organisty.

— Pokróćce to se zamyślisz o dworskiej kanapie! — zaśmiał się, przyobiecując jednak, co jeno prosiła, i wstał prędko, robotą bowiem czekała i trza było kark podać w jarzmo i ciągnąć, jak co dnia.

Rozmówił się jeszcze z kowalem i zaraz po śniadaniu Pietrka wyprawił do woznia gnoju, a sam pojechał w parę koni do lasu.

W porębie jaże huczało od roboty; sporo narodu kręciło się przy obróbce drzewa naciętego zimą, że kieby to nieustanne kucie dzieciółów, tak rozlegało się bicie siekier i trzeszczenie pił; zaś w bujnych trawach poręby pasły się lipeckie stada i dymiły ogniska.

Spomniał, co się tu kiedyś wyrabiało, i pokiwał głową, widząc, jak to już zgodnie robią razem Lipczaki z Rzepecką szlachtą i drugimi.

— Bieda ich doprowadziła do rozumu. I potrza to było wszystkiego, co? — wyrzekł do Filipa, syna Jagustynki, okrzesującego chojary.

— A kto temu był winowaty, jak nie dziedzic a gospodarzel! — mruknął ponuro chłop, nie przestając obrąbywać gałęzi.

— Ale może już najbarzej złościę i głupie podjudzania.

Przystanął w miejscu, kaj był zakatrupił borowego, i tak go cosik złego sparło pod pierściami, jaże zaklął:

— Ścierwa, przez niego cała moja marnacyja! Bym poredził, tobym ci jesczek dołożył! — splunął i wziął się do roboty.

I już całe dnie woził na tartak, przypinając się do pracy z taką zapamiętałością, jakby się chciał zarobić na śmierć, lecz mimo tego, nie zabił pamięci o Jagusi, ani o tej sprawie nieszczęsnej.

Któregoś dnia powiedział mu Mateusz, że kupili grunt na Podlesiu, dziedzic dał na splate i jeszcze przyobiecał zżynów i łat, zaś ślub Nastusi odłożyli, póki Szymek jako tako się nie zagospodaruje.

Co go ta obchodziło cudze, mało to jeszcze miał swoich turbacyi? A do tego, kowal już prawie codziennie i na różne sposo-

by straszyl go sprawą i zwolna, ostrożnie, a wielce chytrze napomykał, że, gdyby mu było pilno potrza, to ten i ów dałby pieńdzy...

Antek już sto razy gotów był prasnąć wszystko i uciekać, ale co spojrzal na wieś i co sobie wziął w myśle, jako pójdzie stąd na zawsze, to go taki strach ogarniał, iż wolałby kryminał, wolałby wszystko najgorsze, bele nie to.

Ale i o kryminale myślał z rozpaczą w duszy.

Więc z tego bojowania ze sobą zmi zerował się, zgorzkniał i stał się w chałupie srogi a niewyrozumiały. Hanka w głowę zachodziła, nadarmo próbując się wywiedzieć, co mu się stało. Nawet zrazu podejrzewała, jako znowu spiknął się z Jagusią; ale co oko miała bystre, a odpasiona Jagustynka też za niemi patrzała i drugie potwierdzali, że wyraźnie stronią od siebie i nikaj się nie schodzą, to się już uspokoiła z tej strony. Cóż z tego, że mu służyła jak mogła najwierniej, że już jadło miał wybrane i na porę, w chałupie ochędożny porządek, że gospodarka szła jak najlepiej, kiej ciągiem był zły, chmurny, o bele co poniewierał i dobrego słowa jej nie dawał.

A już było najciężej, kiedy chodził cichy, strapiony, smutny, kiej noc jesienna, i ani się gniewał, ani uprzykrzał, a jeno ciężko wzdychał i na całe wieczory szedł do karczmy pić ze znajomkami.

Pytać otwarcie nie miała śmiałości, a Rocho kłął się, że też nie wie o niczem, co mogło być prawdą, gdyż stary przychodził teraz jeno na noc, a całe dnie wędrował po okolicy ze swojemi książeczkami a nauczając pobożne nabożeństwa do serca Jezusowego, którego urzędy wzbraniały odprawować po kościołach.

Aż któregoś wieczora, kiedy siedzieli jeszcze w izbie przy miskach, bo wiatier się był zerwał po zachodzie, psy całą hurmą zaszczekały nad stawem. Rocho położył tyżkę, pilnie nasłuchując.

— Ktoś obcy! Trza wyrzeć.

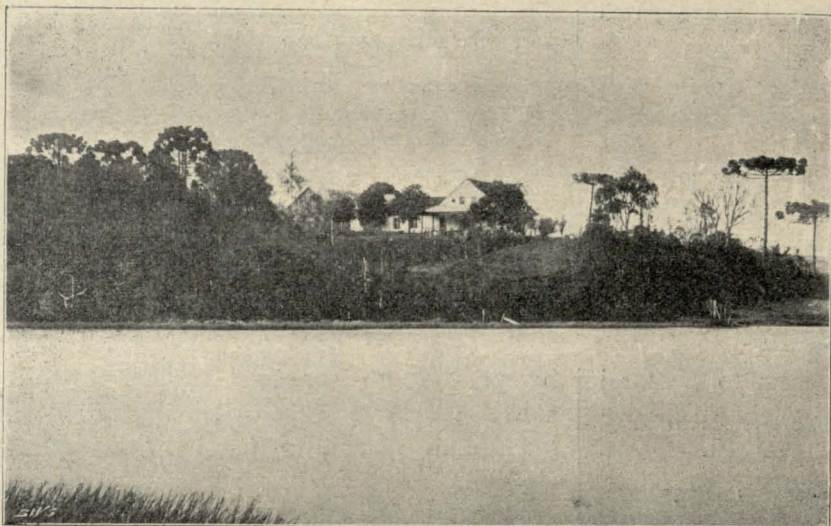
A tyła co jeno wyszedł, powrócił bla dy i rzekł prędko:

— Pałasze brzęczą na drodze! Jakby pytały, na wsi jestem!

Skoczył w sad i zginał.

Antek zbladł śmiertelnie i skoczył na równe nogi. Psy już docierały w opłotkach, na ganku rozległy się ciężkie stapania.

(DCN)



Dwór polski pod Kurytybą. Dom pp. Warchałowskich na Bacachery.

II.

Podczas pobytu mego w Paranie stałem moim siedliskiem był dom pp. Warchałowskich, położony na Bacachery, o pięć klm. od Kurytyby. To znaczy, że z każdej wycieczki w głąb kraju powracałem na Bacachery, aby zebrane materiały porządkować i zużytkowywać. Tej uprzejmej gościnności pani Warchałowskiej zawdzięczałem możliwość pracowania w ciszy i spokoju, jak również odpoczynku w pięknym otoczeniu. Dwór pp. Warchałowskich jest położony ślicznie, na wzgórzu, ponad wielkim stawem. Ani budową swoją, ani innymi szczegółami nie przypomina w niczem Brazylii; gromadka jasnowłosych chłopaków, służba wyłącznie polska, dają zupełne złudzenie, że znajdujemy się w kraju ojczystym.

Pierwsze dni mego pobytu w Paranie zeszły na wizytach i zawiązywaniu stosunków ze światem urzędowym. Pragnąc mi je wedle możliwości ułatwić, p. Janina Warchałowska urządziła u siebie śniadanie urzędowe, w którym uczestniczyli: prezydent stanu, sekretarze stanu do spraw wewnętrznych, rolnictwa i kolonizacji, posłowie do izby deputowanych i do senatu federalnego, przedstawiciele prasy i t. d.

Z mego pierwszego zetknięcia się ze społeczeństwem brazylijskim na statku w Rio, wreszcie tutaj, wyniosłem jak najmiłsze wrażenie. Są to nągół ludzie o doskonałych formach towarzyskich, bardzo uprzejmi, nawet serdeczni, gotowi do wszelkich usług, delikatni, słowem stosunki z nimi są bardzo przyjemne. Wśród pań sporo przystojnych, a nawet ładnych; te, które poznałem na statku

swój bagaż portugalski, liczący kilkadziesiąt najpotrzebniejszych wyrazów. Zresztą język portugalski jest tak podobny do innych języków romańskich, że ku końcowi mego pobytu mogłem swobodnie korzystać z pism i książek, które były mi do moich celów potrzebne.

Pierwszą wycieczkę w głąb kraju, oraz do naszych terenów kolonizacyjnych w Prudentopolis i Miguel Calmon, urządził mi rząd stanu Parana. Z jego ramienia towarzyszyli mi: major José Luz, starszy notariusz z Kurytyby, człowiek niezmiernie miły, gładki, doskonale władający językiem francuskim, oraz ks. Józef Anusz, proboszcz z Araucaryi, rodem z Królestwa, zasłużony działacz oświatowy.

Wycieczka ta była niejako wstępem; zapoznała mnie z krajobrazem Parany, ze sposobami podróżowania, z typem gospodarstwa chłopca polskiego.

Tłem krajobrazu jest płaskowzgórze. Ani na chwilę nie zobaczycie szczerzej równiny; wszystkie drogi wiją się po wzgórzach i dolinach, nieraz w sposób karkołomny, często w sposób bardzo malowniczy. Pośród roślinności przeważa *araucaria*, w mowie potocznej „pinioem” zwana, drzewo żyłaste, rodzaj sosny naszej, które z biegiem lat traci powoli dolne gałęzie i samo sęki wyrzuca. Dzięki temu ma wygląd parasola, a deski są śliczne, bo zupełnie sęków pozbawione; same sęki—dochozące nieraz do rozmiarów olbrzymich—są doskonałym materiałem do galanteryjnych wyrobów tokarskich i, z powodu wielkiej zawartości smoły, wyborynym materiałem opałowym; owoce—w ogromnych szyszkach, są bardzo smaczne.

i które powracały z Pararyża, miały sżyk, wdzięk, sposób obejścia i ożywienie paryżanek.

Wogóle zaznaczyć trzeba, że dla społeczeństwa brazylijskiego odgrywa dziś Paryż tę samą rolę, co dla naszego w końcu XVIII i na początku XIX stulecia. We wszystkich miastach główniejszych można się prawie zawsze porozumieć przy pomocy języka francuskiego; w głębi Parany przestawałem prawie ciągle z Polakami; rzadko więc tylko musiałem wyładowywać

Podszycie lasu — to wielka, bardzo dekoracyjna *taquara*, rodzaj trzciny. Jeżeli wymienię jeszcze twarde *imbuje*, *cedry* (od rodzaju żeńskiego *cedra*; nie trzeba mieszać z *cedrem*) *brahatingi*, *palmy*, paprocie drzewiaste, to wyczerpię swój zapas wiadomości botanicznych, a czytelnikom dam tylko najslabsze wyobrażenie o bogactwie flory tu-tejszej. U stolarza, p. Rostafińskiego w Kurytybie, widziałem robioną na wystawę do Rio gwiazdę, złożoną ze 122 kawałków drzew różnych gatunków, rosnących w lasach parańskich!

Nie zapominajmy o bogactwie lasów tutejszych. Jako mała płonka, zagłuszana przez inną, bujną roślinność, rośnie tu dziko *ilex paraguayensis*. Oczyszczone naokoło z chwastów i trzcin, dochodzi to drzewko do kilkometrowej wysokości; cienkie gałązki i liście, suszone i opalane, gotowane potem na wywar, dają *herwa mate*, herbatę paragwajską, ulubiony napój w Paranie. A że jest to napój narodowy w Argentynie, gdzie drzewka te dziko nie rosną, a dotychczasowe próby sztucznych plantacji zawiodły, więc *herwa* ma zawsze zbyt zapewniony i dlatego jest bogactwem lasów parańskich, rodzajem premium przyrody od ziemi nieurodzajnej, rośnie bowiem jedynie na grun-



Parana. Suszarnia herwy w lesie.

tach lichych. Każde drzewko może być cięte co trzy lub cztery lata.

Taki las parański, o ile jest dziewiczym, jest tak gęsty, że trzeba sobie wyrąbywać w nim drogę *fojsą*, rodzajem zakrzywionego tasaka, osadzonego na dość długim drzewcu. *Fojśa* i motyka—to pierwsze i niezbędne narzędzia naszego chłopca-emigranta, kiedy go losy rzucą w głąb puszczy parańskiej.

Nie należy z tego wnosić, że cała Parana jest wyłącznie lasami pokryta. Nie. Nie brak tu gruntów bezleśnych, t. z. *kampów*. Nie tłómaczę tego wyrazem „stepy”, ponieważ te grunty bardzo faliste, nie pozbawione zresztą tu i owdzie kęp drzew, nie odpowiadają naszemu pojęciu stepów. Owe *kampy* w znacznej części należą do wielkich posiadaczy, którzy hodują na nich olbrzymie ilości bydła. A chłop nasz ma do tych gruntów bezleśnych uprzedzenie, uważa je za liche—niesłusznie; zdaniem moim poprostu przynosi ze sobą ze starego kraju wrodzone przekonanie o wysokiej wartości lasu na sprzedaż i widzi w gruntach, lasem pokrytych, wielkie bogactwo.

Tymczasem tu, dokąd przychodzi, w głębi puszczy, odległej o kilkadziesiąt albo i sto kilometrów od najbliższej stacyi kolejowej, drzewo jest



Pierwsza wyprawa. Uczestnicy w Rio Claro, przed domem p. R. Paula.

bez wartości. Niebawem się o tem emigrant przekona.

Teraz proszę sobie wyobrazić chłopca naszego w puszczy dziewiczej. Ma kawałek odmierzonego lasu, obejmujący przestrzeń pięćdziesięciu naszych morgów; na tem wybudowano mu z góry dom, lub nie—mniejsza o to. Może się przytulić w naprędcie skleconym szalasię, a grunt bez domu będzie go kosztował o paręset milrejsów taniej.

Takie właśnie grunty przygotowano dla kolonistów na kolonii stanowej obok Prudentopolis i przygotowują się—w dość powolnym tempie—na kolonii, urządzonej przez rząd związkowy, w Miguel Calmon. Oglądałem te grunty. Na drugiej kolonii są lepsze, na pierwszej zaś już pozajmowane. Zasluguje tu na uwagę zastosowany po raz pierwszy w Paranie system wioskowy.

Zwyczajny kształt kolonii—to bardzo wydłużone linie. Obszar 50 naszych morgów—to obszar ćwierci kilometra kwadratowego. Zatem działka gruntu—w żargonie parańskim *szakier*—ma kilometr długości i ćwierć kilometra szerokości. Inne mi słowy, odległość chaty od chaty, które stoją zawsze na środku krótkiego boku prostokąta, wynosi ćwierć kilometra, a linie, liczące nieraz po sto kilkadziesiąt chat (na koloniach Rio Claro, Prudentopolis, Lucena), mają po czterdzieści i więcej kilometrów długości.

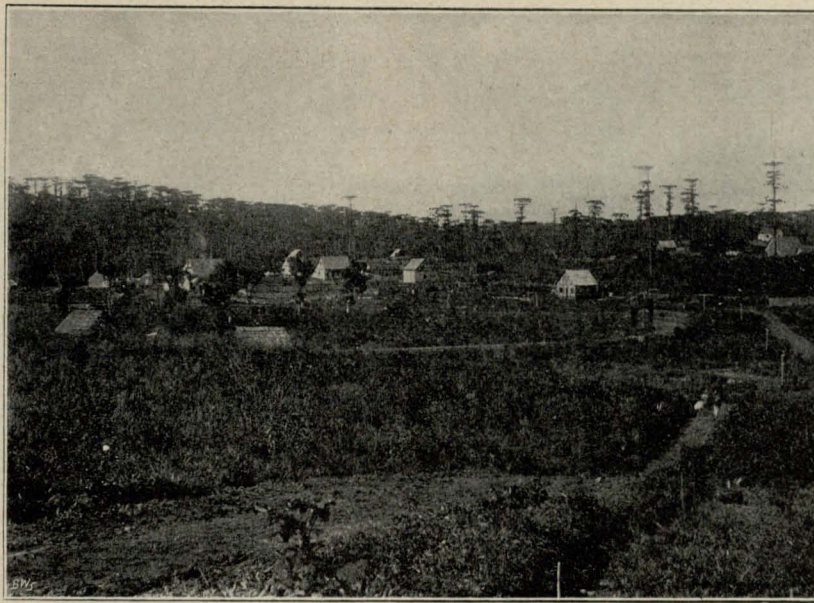
Jak wspominałem, na nowych koloniach pod Prudentopolis zastosowano po raz pierwszy w Paranie system wioskowy. To znaczy, że skupiono



Pierwsza wyprawa. Nowa kolonia na Prudentopolis. Fot. L. Włodek.

chaty w jednym miejscu, pozostawiono przy nich trochę miejsca na ogródki, grunty zaś każdego kolonisty są mniej lub więcej odległe od chat. Ta odległość jest słabą stroną nowego systemu i powodem wątpliwości, czy wytrzyma on próbę czasu. Stosowanie go jest możliwe tu wogóle tylko dlatego, że nowa kolonia jest mała i liczy zaledwie kilkadziesiąt *szakrów*.

Dobłą stroną systemu wioskowego jest skupienie ludzi, konieczne dla nich, zwłaszcza w początkach. Nawet pomimo tego skupienia, emigranci, których na nowej kolonii widziałem, a których znałem już początki z domu emigracyjnego w Rio, mieli miny raczej kwaśne i zafrasowane; kobiety skarżyły się, że daleko do cerkwi, i płakały na brak zwykłego otoczenia. Skarg i żalów przeceniać nie należy; są one zupełnie naturalne przy pierwszym zetknięciu z otoczeniem zupełnie obcym, a po kilku latach ci sami ludzie za nic w świecie nie będą chcieli wrócić do starego kraju.



Parana. Kolonia koło stacji Marichal Mallet. Wylot kolejowy kolonii Rio Claro.

Cóż będzie robił ten chłop polski czy rusiński, który się znajdzie nagle w nieprzebytym boru? Nie będzie go karczował, choć robił to czasem w początkach przez nieświadomość, bo to praca Syzyfowa. Wyszuka starannie drzewka herwowe, o ile je ma na gruncie, aby ich broń Boże nie zniszczyć. Resztę chwastów, trzcin, krzewów zetnie i—podpali; wielkie drzewa nie spalą się, tylko osmałą i—umrą. Te sterczące bezsilnie czarne olbrzymy są cechą charakterystyczną pól na młodych koloniach, jak Rio Claro, Lucena, Mathesus, założonych przed siedemnastu lub, jak Prudentopolis, przed jedenastu laty.

Oczywiście nie zrobi tego na całych pięćdziesięciu morgach. Oczyszczy pod uprawę tyle gruntu, na ile mu pozwala ilość rąk roboczych w rodzinie własnej, bo robotnika najemnego nie dostanie. Zanim pierwsze plony zbierze, będzie żył z zarobków przy budowie drogi kołowej, pracując przez dni parę w tygodniu, lub z zapomogi rządowej, udzielanej w postaci potrzebnej do życia ilości środków spożywczych.

Kiedy grunt oczyszczy, zaczyna sadić. Wśród korzeni i pniów pług nie puści, bo to rzecz niepodobna; na koloniach młodych dotąd niewiele jeszcze pługów chodzi po polu. Weźmie motykę, poruszy trochę ziemię z wierzchu, poczem pocznie sadić. Przedewszystkiem kukurydzę, bo tę najłatwiej sprzedać może; następnie na potrzeby własne *fizon* (czarna fasola), podstawę pożywienia tu-tejszego, żyto na chleb, który tu Polacy po raz pierwszy wprowadzili, kartofle, *bataty* (słodkich kartofli), *mandiokę* której słodki korzeń, starty na mąkę, używany jest, jako przyprawa do wszystkich potraw. W ogrodzie będzie miał najpospolitsze tu pomarańcze, drzewa pigwowe, *peseki* (rodzaj dzikich brzoskwiń), *amejsze* (*nêfles du Japon*, podobne do moreli, o trzech wielkich pestkach), założy wreszcie winnicę (bardzo wielu Polaków



Przeprawa przez rzekę. Fot. konsul Z. Okęcki.

bi już dziś wcale niezię wino czerwone).

Na to wszystko, na nabycie inwentarza, potrzeba czasu. Ale w ten sposób właśnie powstały i rozwinęły się te olbrzymie kolonie, obliczane na tysiące *szakrów*, jak Rio Claro, Prudentopolis, Lucena, kolonie prosperujące naogół świetnie.

Ziemia nie jest dawana darmo, lecz na spłaty, teoretycznie dziesięcioletnie, w praktyce zaś o wiele bardziej długoterminowe, ponieważ raty egzekwowane są bardzo łagodnie. System podatkowy jest dla naszych kolonistów bardzo niedogodny: brak podatku gruntowego unieruchomia olbrzymie obszary ziemi, leżące odłogiem, a będące własnością bogatych Brazylijan; podatek od wozów jest skierowany wyłącznie przeciwko naszym rodakom, ponieważ oni tylko wozami jeżdżą; wreszcie po-

datek wwozowy od produktów rolnych, przywożonych na targi, daje się we znaki wszystkim rolnikom, wśród których znowu nasi stanowią część przeważną i najbardziej produkcyjną.

Pomimo tego wszystkiego, ziemia musi być plenna i warunki gospodarki dobre, skoro Polacy i Rusini z bogacają się w Paranie. Istnieje na to dowód niezbity: wykupywanie przez nich ziemi od Brazylijan, nieraz w kilkukilometrowym promieniu naokoło istniejących kolonii, zjawisko, które zauważyłem wszędzie, jakkolwiek w różnym stopniu.

Rolnikom polskim jedna zagraża kłeska—



Ruszamy w drogę na Bom Jardim.

szarańcza, która ukazuje się już po raz trzeci i w coraz większej ilości, która wywołuje ucieczki z kolonii Antonio Olyntho i głód na części Luceny. Trzeba widzieć doszczętnie zjedzone pola, trzeba widzieć te miliony skaczących żyjatek, rosnących i rozwijających się kosztem krwawej pracy ludzkiej, aby mieć pojęcie o rozmiarach kłeski.

A wobec szarańczy stoi rolnik sam, pozbawiony wszelkiej pomocy, chociaż powtarzająca się ciągle w szerszych rozmiarach kłeska może stać się grobem rolnictwa w Paranie.

Rolnictwo to naturalna podstawa ekonomiczna kraju tego. A wśród rolników prym trzymają Polacy i Rusini. Ze wszystkich przybyszów ze starej Europy oni jedni wytrwali w walce z puszcą dziewiczą, potrafili ją przeistoczyć na ziemię uprawną. I każdy, zwiedzający Parane, musi ze czcią pochylić głowę przed spotykanymi na każdym kroku dowodami wytrwałości i znoej pracy chłopca polskiego.

Dramat wszechświatów.^{*)}

Nasza wielka poezja dramatyczna, której doniosłość teraz zaledwie poznawac zaczynamy, pozostawiła po sobie w spadku, obok potęgi nieźrównanego artyzmu, tyle treści ideowej, że długi czas jeszcze, całym szeregiem narodzić się mających pokoleń służyć będzie za niewyczerpaną skarbnicę ducha. Za mirażami ducha pociągnie długi poczet uczniów, wyznawców, bojowników o wielką prawdę dla ludzi i ludów.

Do tych uczniów, a przyznać trzeba, uczniów niezwykle utalentowanych, należy młody, nieznan autor, występujący pod pseudonimem Władysława Poświata. Dramat jego, p. t. „Paraklet”, swą treścią ideową tkwi w myśli historyzoficznej Zygmunta Krasieńskiego, w jego „Legendzie”, „Przedświcie”, „Psalmach przyszłości”, „Dniu dzisiejszym”.

Teorya Cieszkowskiego o trzech epokach dziejów Kościoła na ziemi, która stała się kamieniem węgielnym wielkiego gmachu historyzofii autora „Nieboskiej”, w „Paraklecie” znalazła piękny i silny wyraz poetycki. Ta trzecia epoka, dzień Ducha Świętego, trzeciej osoby Trójcy Boskiej, nadejdzie, a z nią doba miłości i szczęścia równego dla wszystkich; a przepowiedział ją Jan święty w tajemniczej Apokalipsie, nazywając Ducha, który ma dać jej początek — Parakletem.

Ale nie dość na tem. Bo nie tylko poezja Krasieńskiego dała młodemu pocie natchnienie: Słowackiemu zawdzięcza on śpiewność i pieściwość wiersza, marzycielską postać Lucyfera (jak w „Zborowskim”), Mickiewiczowi zaś — naczelną figurę Ziemia, którego rysy przypominają do pewnego stopnia Konrada z „Dziadów”.

Ziemia jest wcieleniem bólu i tęsknoty życia: bierze w swą pierś i ból, i krew, i jęk, i łzy cierpiących i nędzarzy — i rozżarza się wielkim pragnieniem ulżenia im doli. Jak Konrad w „Improwizacji”, prosi i błaga Stwórcę o litość dla nieszczęśliwych i modli się kornie u Jego Tronu, a potem zapala się piekłem, grozi i znieważa:

Czyń mi dziw!
Daj ujrzeć raz Twą twarz...
Wpiję w nią bezden mych żrenicznych szkliv...
I wszystką Miłość, którą masz —
Zaniosę w szczęście — im!
Synom Twym!...
O, słysz mię, Panie!
Jeśli moc Twoja w gromowym jest obłoku...
W błyskawicy — huraganie...
Chylę się przed Twą twarz — gnę...
Ale Cię klnę
Mych gorczych ust piołunem!
Ale przeklinam Cię Tobą — piorunem...

Na swej ciernistej drodze znajdzie Ziemia pomoc i osłodę w postaci słodkiej i czystej Bożenney, co, jak Elsinoe Anhellemu, jak Orla Aryosowi w „Duchach” Świętochowskiego, dłoń mu liliową położy na czole płonącym i uciszy rozkołysane boleśnie serce.

Przepiękna jest scena, w której ona po raz pierwszy ukazuje się na scenie, lżona, oplwana przez tłum, przed sąd zawleczona okrutny, że stargała ustawy powszechne, nie chcąc dzielić łoża męża — niekochanego. Kogóż więc kochała?

Pieściłam mchy, że w ciszy kornie kłęzą...
Pieściłam mchy, że w nocy ścielą łoża...
Pieściłam mchy, że w mgłach błyskają tęczą...
Pieściłam mchy, że milczą swe pacierze...

Tuliłam paproć, bo poszumna...
Tuliłam paproć w dłonie obie!...
Tuliłam paproć, bo zbyt dumna:
Kwitnie raz... w nocy!... samej sobie...

*) *Władysław Poświat*. Paraklet, poemat dramatyczny w czterech aktach. Okładkę rysował Antoni Gawiński, Rok 1909. Skład w księgarni Gebethrera i Wolffa, 4-ka, str. 155.

A od mchów więcej, od paproci —
Kochałam irys czarny, lśniący...
Że w słońcu kona, wszystek mrący...
Że w noc — choć czarny — mrok rozżłoci!...

Ileż wdzięku poetyckiego w tej spowiedzi bezgrzesznej grzeszniczki!

W łonie tych dwojga — Ziemia i Bożenna — pocznie się przyszłość, dzień nowy dla cierpiącej ludzkości. Zdawna Ziemia przybycie dnia tego przeczuwał, kiedy mówił, wpatrzony rozżęknionym wzrokiem w zakrytą twarz nieznanego jutra:

Wszystko mi wieści, że blizki Dzień Ducha,
Kiedy się niebios ramiona rozplotą...
Z tęsknotą ziemi w pieśń się zwiążą złotą...

Marzy o tem jutrze i duch tęsknoty i bólu, Lucyfer, czy kiedy piorunem groźby mierzy zuchwałę w czoło Jego, swego odwiecznego Wroga, czy kiedy



Tytułowa karta „Paraklet”.

korzy się przed Nim, szepcząc echem: „Jestem Ci... jestem Anioł-Jutrzenka!”...

Dumają o tej przyszłości i On i Syn na niebiosach, troski pełni i smętku, iż Męka Krzyżowa nie dała szczęścia ludzkości, i śnią, i marzą o tem, że kiedyś, kiedyś, po wiekach: „Królestwo duchów — DUCH posiadzie”...

Zwiastuje ten dzień wyroczny Bożennie Cherubin i św. Jan Ewangelista, co, jak niegdyś imiennik jego, Chrzciciel, torował ścieżki Pańskie, zwiastując powtórne przyjście Chrystusa na ziemię...

Chwila nadchodzi. Oto Chrystus sam przy ołtarzu odprawia Ofiarę bezkrwawą, a Chlebem Żywota obdziela kłęzących w niezemskim zaszczycie Ziemia i Bożennę, błogosławiąc ich:

Który pochodzisz od Ojca i Syna —
Nawiedz Królestwo moje!
Który od wieków trwasz — a i na wieki...
Utwierdź onych zbroję!
Któryś jest Światłość, co nigdy nie mija...
Rozjaśnij te dwa zdroje!
Któryś jest Miłość i Duch-Pocieszyciel —
Umiłuj tych oboje!...
Oto się dokonała —
Ma praca... trud... i znój!
Twarz moja szczęściem pała!
Bo DZIEŃ już idzie Twój
W weselu i światłości!
Idzie Twa cześć... Twa chwała —
Przez Miłość... i w Miłości!...

Ostatni akt przenosi nas znowu w zaświaty. On i Syn pograżeni w tęsknem oczekiwaniu, bo oto już „idzie królestwo Parakleta!” Królestwo Parakleta, dzień Ducha świętego, Kościół Miłości. A potem oddalają się w mgłę wieków, w nieskończoną dal, płyną, płyną, płyną... Cherubini,

Serafini, całe hufy niebieskie kamienieją w bezruchu. A Tron i Krzyż, symbole epok minionych, zapalają się, goreją, aż wreszcie runą w popielne zgliszcze...

Świat ma nastać nowy.

A w tym świecie nie będzie już Lucyfera — tęsknoty i bólu.

I oto w przepięknej scenie Lucyfer zbliża się do zgliszczy, które pochłonęły symbole władzy jego Wroga, zgarnia prochy ukochane na piersi, tuli je do łona, wpatruje się w nie miłośnie, szepcząc:

Wieki... wieki!
Ciebie śniłem!
Tobą — żyłem!
Zemstą, szalem,
Bo kochałem
Twoje lica,
Twe powieki,
Co jak ćwieki
Błyskawica —
W pierś się wżarły...
Krwiały — darły...
Tyś umarły!
A ja Cię śniłem
wieki całe... wieki!... wieki!...

I prochy te, miłośnie, z tęsknotą nieobjętą tulone do piersi, spalają Lucyfera w żużle, w popioły, a zgliszcze urasta w kurhan, KURHAN-WYZWOLENIE!...

Dziwna, potężna, przejmująca, a śmiało pomysłana scena!...

Na monologu Ziemia, przerywanym odgłosem chóru korowodu duchów, płynących na spotkanie Parakleta pod wodzą Bożenny (motyw „Przedświtu”), kończy się ten „poemat dramatyczny”.

Nie uważamy go bynajmniej za rzecz bezwzględnie doskonałą: przeciwnie, znać na nim niedojrzałość pióra i brak zrównoważenia, widoczne są pewne niedociągnięcia w niektórych razach, pewna przesada (np. w języku i stylu) — w innych. Ale zaprzeczyc się nie da, że w osobie autora „Parakleta” przybywa piśmiennictwu polskiemu talent niepośledni, talent górny i, że się tak wyrazimy, heroiczny, który przechodzi dziś właśnie swą epokę „burzy i wrzenia”. Oby wyszedł z tej walki cały i czysty, z niezłamanymi skrzydłami i nie splugawiony błotem ziemskim! oby zyskał to, co jest prawdziwą rękojmnią, że rozwój talentu kroczy po prawej drodze — spokoj i równowagę ducha!

Albowiem posiada od natury wielkie dary, których roztrwonić mu nie wolno: płomienną wyobraźnię i gorące serce. A także i pragnienie dobra: bo ze wszystkich słów Modlitwy Pańskiej z najmocniejszą tęsknotą wymawia zapewne prośbę: „przyjdź Królestwo Twoje”.

HENRYK GALLE.

Za oknem mem w noc ciemną szumią drzewa,
Kołacze w dali stróż i skrzypią wrota...
Chrypiący wiatru świst lęk przeczuć wiewa,
I nieprzytomna we mnie lka tęsknota.

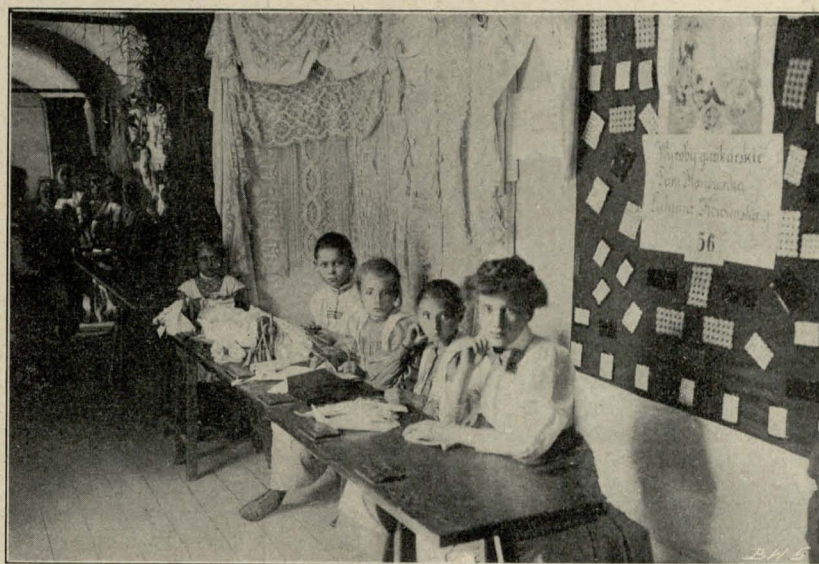
I nieprzytomna we mnie lka tęsknota,
I krwawem ślepiem łyszczą czarne lęki...
Śni mi się martwych kości pełna grota...
Tężeje ze mną wszystko w skurcz udreki.

Tężeje ze mną wszystko w skurcz udreki...
Gdzieś rzezi skon, gdzieś ziarno głuszy plewa...
W krzyk potworniej lekkie, nikłe dźwięki...
Za oknem mem w noc ciemną skrzypią drzewa...

Z WYSTAWY „DZIECKO“ W WILNIE.



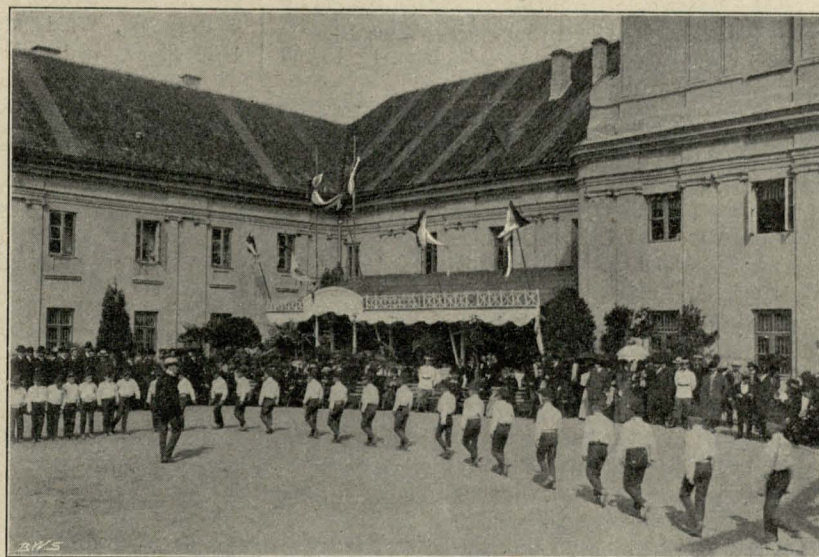
Pierwsza ochronka w Wilnie, im. Następcy tronu. (Zawiadująca p. Leszczyńska).



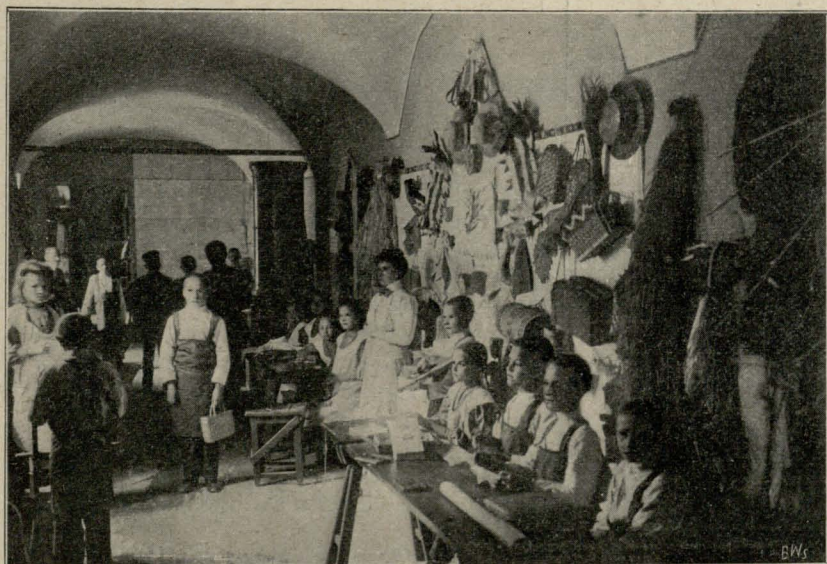
Wileńskie Towarzystwo opieki nad dziećmi, guzikarstwo.



Główny korytarz wystawy.



Ćwiczenia gimnastyczne przy otwarciu wystawy.



Towarzystwo opieki nad dziećmi w Wilnie.



Stolarstwo i introligatorstwo w Tow. opieki nad dziećmi.

Niedarmo wiek XX nosi miano „stulecia dziecka”... Współczesne życie społeczne wysunęło zagadnienia dziecięce na jeden z pierwszych planów i zainteresowało nimi wszystkie cywilizowane państwa i narody, jako palącą sprawą obecnej doby. To też z radością powitać należy otwarcie wystawy „Dziecko” w przestarzałym Wilnie, które coraz częściej składa dowody swej żywotności i trzymania ręki na pulsie kultury współczesnej.

Wystawę zainicjował p. Józef Montwiłł, a poparł gorąco p. Michał Węśławski, prezydent miasta. Będzie

ona stanowiła swego rodzaju erę w historii Wilna, gdyż żywo zainteresowała bardzo szerokie masy naszego społeczeństwa.

Z Warszawy wybiera się cały szereg znanych w świecie pedagogicznym i naukowym osób, aby słowem i czynem uświetnić ciekawą, bardzo na czasie i ważną inicjatywę Wilna. Zapowiada się też cała seryja interesujących odczytów, które przez usta specjalistów mają oświetlić rozmaite dziedziny współczesnych zagadnień dziecięcych, najbardziej zaś postępy, uczynione w ostatnich czasach w sprawie fizycznego, umysłowego

i duchowego wychowania dzieci. Dbali o realne wyniki zbiorowej pracy kierownicy wystawy ogłosili już jeden konkurs w dziale ubrań dla dzieci do lat 14, by wytworzyć specjalny, odpowiadający wymaganiom higienicznym i wyrobom miejscowym fason i typ ubrania dla najbiedniejszych dzieci. Dalsze konkursy ogłoszone będą niebawem.

Wystawa obejmuje cztery działy: 1) dzieci do lat 4-letnich, 2) dzieci do lat 9-letnich, 3) dzieci do lat 14-letnich i 4) instytucje dobroczynne, związane z ochroną zdrowia i życia przyszłych obywateli kraju.

W dawnej stolicy księstwa słuckiego.

W prastarym grodzie litewskim Słucku wkrótce ma być otwarta wystawa rolniczo-przemysłowa, na której zapewne licznie się stawi polskie i litewskie ziemiaństwo, gdyż, jak chodzą wieści, zjazd ma być bardzo duży.



Wiktor v. Helmersen, komisarz wystawy w Słucku.

żołnierza. Jemu również, jako żarliwemu i dbałemu o bogactwo miasta administratorowi, Słuck zawdzięcza słynną fabrykę pasów perskich, o których niejednokrotnie wspomina i wielki król naszej poezji w swoim „Panu Tadeuszu”. Z produkcji tej Słuck szeroko zasłynął po świecie, a „pas słucki, pas lity, przy którym świecą gęste kutasy, jak kity”, stał się cenną ozdobą stroju szlachcica polskiego.

Pierwsze egzemplarze pokazały się po r. 1750, wyrabiane pod dyrekcją fabrykanta, przybyłego z Turcyi, niejakiego Jana Mażarskiego. Liczba warsztatów dochodziła wtedy do 25, zwiększając się znacznie z biegiem czasu, gdy już majstrowie wykształcili się z miejscowych mieszczan. Fabrykę pierwotnie dzierżawił Mażarski, płacąc za to księciu 10,000 złotych polskich rocznej dzierżawy, a później jego syn Leon.

Za księcia Karola Panie Kochan-

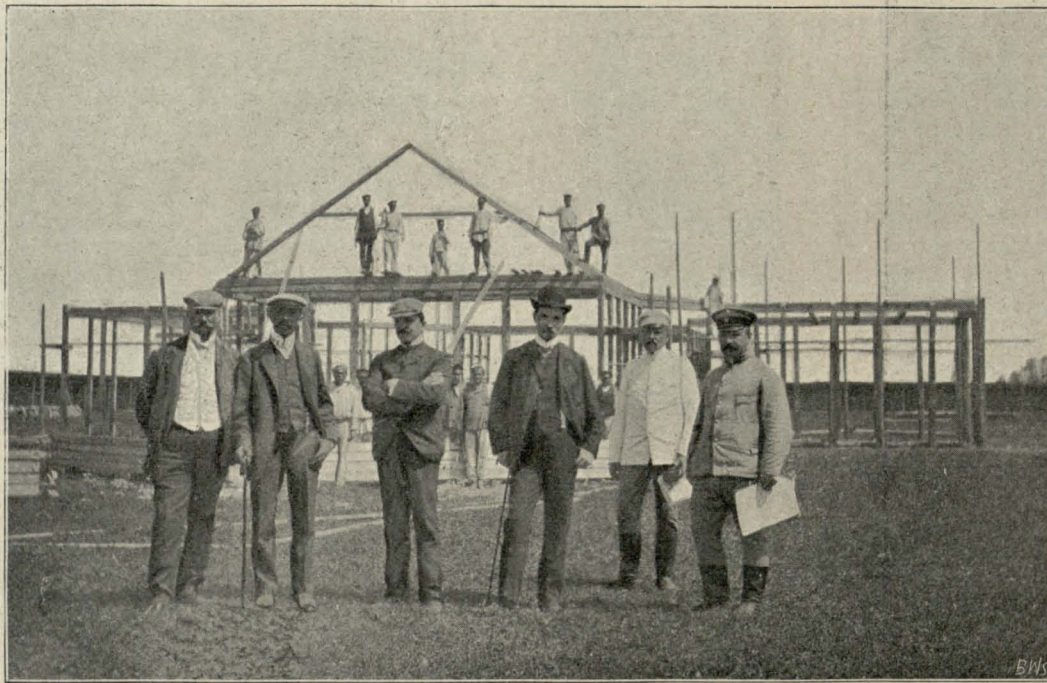
ku, który również bardzo protegował ową, jak zwykł mawiać, „persyarnię”, wyrabiano rocznie po 200 samych tylko złotych pasów, których cena wynosiła od 5 do 150 dukatów. Po Mażarskich dyrekcję nad fabryką objął mieszczanin miejscowy Karolko, a ostatnim jej dyrektorem był niejaki Borsuk około r. 1823, na którym zakończyła się słynna era kulinacyjnego rozkwitu Słucka.

Jako miasto, Słuck należy do najstarszych grodów litewskich, gdyż początek jego nie jest znany i sięga prawdopodobnie czasów przedhistorycznych. Pierwszą o nim wzmiankę znajdujemy już w latopisach ruskich pod r. 1116, gdy spalony został przez knezia mińskiego Hleba, burzącego się przeciwko wielkiemu księciu kijowskiemu, Włodzimierzowi Monomachowi. Po roku 1162 Słuck, podobnie jak Nowogródek i Zaslav, przeszedł do Litwy, pozostając i nadal stolicą osobnej dzielnicy, księstwa słuckiego. Niejednokrotnie potem już za panowania polskiego odpierał nawały hord tatarskich, ulegając pożarom, rabunkom i mordom. Słuck współczesny utracił dawną swoją wspaniałość i znaczenie, przeistaczając się w małe miasto prowincjonalne, liczące około 20 tysięcy mieszkańców, wśród których żywił polski stanowi najbardziej kulturalną i inteligentną część.

Mająca się wkrótce rozpocząć wystawa rolniczo-przemysłowa dodatnio charakteryzuje jej żywość i zdolność do pracy społecznej.



Ulica Szeroka w Słucku.



Komitet wystawy powiatowej w Słucku przed zaczęciem budowy pawilonu głównego. Od strony lewej ku prawej: W. v. Helmersen, komisarz wystawy, Ludwik Jodko-Narkiewicz, prezes słuckiego Tow. rolniczego, W. Górski, wiceprezes komitetu wystawy, Marceł Sieradzki, sekretarz wystawy, P. Juchniewicz, dozorca robót, inżynier Janiśławski, kierownik robót.



Typy ludowe z okolic Słucka w ubraniu powszednim.

Nowa książka o Kochanowskim.

Ferdynand Hoesick: Ze studyów nad Kochanowskim. Kraków. Nakład Akademii Umiejętności, 1908. Po obszerniejszej, niedawno wydanej pracy o Kochanowskim, streszczającej dotychczasowe rezultaty badań monografistów nad żywotem, sprawami i dziełami poety, niestrudzony biograf Słowackiego, Krasieńskiego, Tarnowskiego, Klaczki i Chopina poświęcił dwie rozprawy, ogłoszone w tomie XLIV Rozpraw Wydziału filologii Akademii Umiejętności, zbadaniu *wpływów francuskich na twórczość poety i ewolucję jego religijnych przekonań na tle Reformacji*. Badania te ujawniają w autorze znanstwo odnośnej literatury źródłowej i przenikliwość jego badawczą w ocenie wpływów pisarzy obcych, francuskich zwłaszcza, na rozwój talentu Kochanowskiego i jego kierunku, w epoce, gdy Kochanowski, dla uzupełnienia studiów swoich, bawił we Włoszech i we Francji.

Niemniej zasługują na uwagę poglądy autora na stanowisko Kochanowskiego wobec Reformacji, na przekonania religijne poety w epoce, gdy większość rodów polskich, idąc za prądem czasu, hołdowała nowatorskim ideom.

Jakkolwiek w rozwiązaniu obu tych zadań przyszło p. Hoesickowi borykać się z brakiem wymotygowanych dostatecznie argumentów, któreby dostarczyły dowodu niezbitego, iż pod względem oddziaływania pisarzy francuskich na twórczość poety wpływ tego rodzaju był niewątpliwym, i jakkolwiek po dokładnym wczycaniu się w osnowę drugiego studium p. Hoesicka nie ze wszystkim można w sobie ustalić przekonanie, iż Jan z Czarnolasu pozostał niewzruszonym na punkcie dogmatów katolickich, jednakże przyznać należy słuszność argumentacji autora, iż w tego rodzaju nieuchwytnych dla czytelnika nowoczesnego psychologicznych czynnikach, które jakoby przekonaniem i twórczością poety ze złotego wieku literatury kierowały, hipoteza jest jedynym punktem wyjścia i że ona, dając pole do dyskusji, już tem samem zadanie, przez autora podjęte, czyni w rozwiązaniu łatwiejszem.

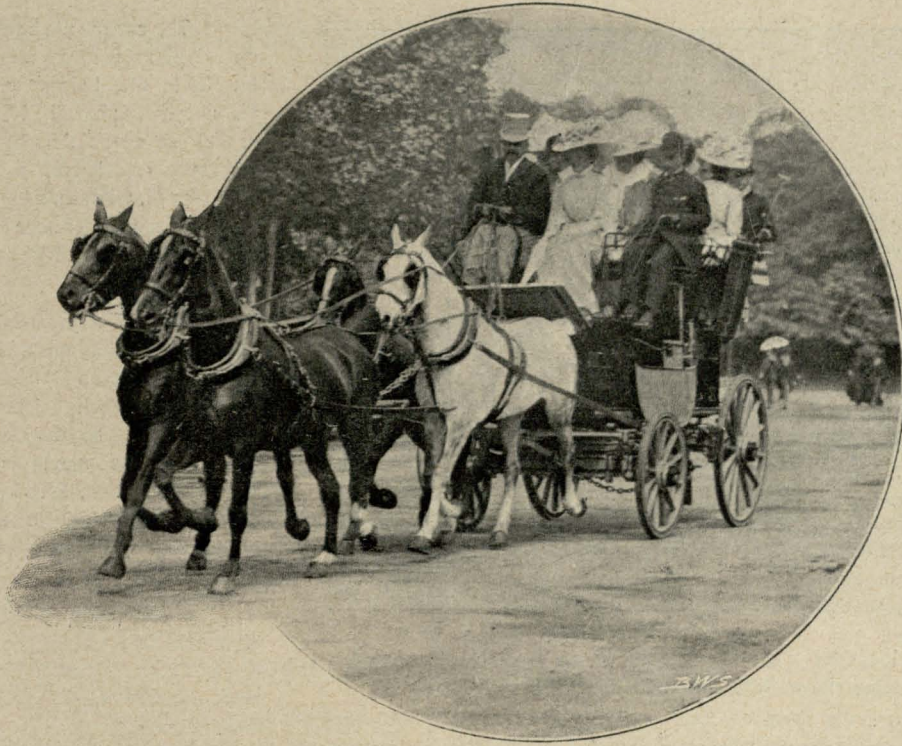
Oddając należną sprawiedliwość usiłowaniu autora, podnieść nadto należy widoczne umiłowanie przedmiotu.

AL. K.

ZŁOTE LISTKI.

Wierzmy, Panie! O, wierzmy mocno,
Żeś nas nad wszystkich upodobał sobie,
Żeś nas zapalił, jak pochodnię nocną,
By całą ludzką prowadzić ku Tobie,
Że nam na niebie już świta zranie,
Wierzmy, Panie!

K. UJEJSKI: „Akt wiary”.



Fantazja „szczątkowa”.

W domu państwa Jakubostwa imieniny.

Dzień św. Jadwigi, a solenizantką—pani domu...

Od godziny 5-tej więc zjeżdżają sąsiedzi—starsi i młodszy, pragnąc osobiście złożyć gospodyni życzenia, a domowi sympatyę i zasłużony szacunek.

Kto wie nawet, czy tych „młodszych” dziś nie więcej—w domu bowiem są dwie panny...

Starsza, Zofia, która świeżo ukończyła wyższe kursa w Warszawie, pomaga rodzicom czynić honory—i bawi w salonie gości. Cała sploniona, broni się oto, jak może, bo ksiądz proboszcz uwziął się dzisiaj na nią i wyszydza długą już, uroczystą białą jej suknię przed paroma starszymi sąsiadami.

— Jestem pewien, mój dobrodziej—mówi do sądziego—że panna Zofia pożyczyla na dziś tylko tej sukni od Mademoiselle, a jutro powróci znów do swojej krótkiej... Jak to tym podlotkom dziś do starości pilno!...

A Janka, 15 letni trzpiot, została jeszcze w panińskim pokoju na górze, gdzie pomaga się ubrać spędzającym u nich wakacje kuzynkom. Sama, w różowej lekkiej sukience, fruwa, jak motyl, od toalety do okna, ile razy posłyszysz trzask z bicza i turkot jadących kół...

A właśnie w tej chwili strzelił bat, i z fantazją, hałasem i brzękiem krakowskich chomąt skarogniada czwórka zatoczyła koło klombu łuk i wryła się kopytami w ziemię, przed gankiem.

— Kaziu, Jadwiniu, chodźcie prędko zobaczyć zaprzęg pana Waclawa!—zawołała z entuzjazmem Janka.—To mi zuch!.. Żebyście widziały, jak on cudnie zakreślił i osadził konie na miejscu!... Ale i ta uprzęż sliczna... Ach, dostać tak do rąk taką czwórkę... Pędziłabym, jak wiatr!...

I byłyby może dłużej myślała o panu Waclawie i jego czwórce, gdyby jedna z pań nie wezwała jej pomocy do uporządkowania garderoby.

Ale oto n'ezadługo przez otwarte drzwi balkonu znów wpadł odgłos, tym razem jakiś głuchy, przyciszony...

Zatupotały dyskretnie liczne kopyta, i z dystyngowanym skrzypem skór angielskich szorów stanął przed domem ekwipaż, zaprzężony „w szydło”.

Wszystkie młode główki wyjrzały ciekawie.

U podjazdu stał wytworny, dwuosobowy „coach”, z którego, rzuciwszy lejce w ręce grooma, wyskoczył młody człowiek, w długiemi angielskiemi palcie.

— Jak mamę kocham, kuzynek Tom!...—klasnęła w ręce Janka.—Ach, przepraszam: hrabia Tomasz!...—dodała, wydymając poważnie usteczka. A potem wybuchła nagle szalonym śmiechem.

— Ach, co też to tatuś nadokucza mu zawsze tą angielszczyzną, którą się otacza ze wszystkich stron!... Ale bardzo się cieszę, że dziś przyjechał. Urządzimy raz przynajmniej porządną partyę tenisa!... Ale wiecie

co?...—dodała nagle z powagą. — Doprawdy, że ten zaprzęg wspaniale wygląda... Sapristi!

— Janko, Janko—upominała ją kuzynka—dobrze, że cię nie słyszy M-lle Marthe!...

Ale wistocie zaprzęg był piękny—i podziwiała go wszystkie.

Dwa ciemno-siwe ogiery u dyszła grzebały niecierpliwie wyłakierowanemi kopytami ziemię, a trzeci, biały, jak mleko, arabczyk, sam, jak laleczka, naprzód wysunięty, formował „skrzydło”. Jasnobronzowa lekka uprzęż świeciła tylko tu i tam srebrną klamerką lub kościanymi kółkami, rysując się cienkimi, strojnymi liniami rzemieni na rasowej budowie koni...

— Tatuś mówił—rzekła Janka—że Tom zapłacił za tę trójkę cztery tysiące, ale ja myślę, że one doprawdy tyle nie są warte... Tylko że...—i urwała.

— No, tylko co?—nalegała któraś ciekawie.

— Ach, właściwie nic!... Wtedy akurat stawialiśmy wspólnymi funduszami ochronę, a przy niej większą szkółkę... Wszyscy się spodziewali, że „pan hrabia” otworzy szerzej sakiewkę. A on dał tylko sto rubli, bo właśnie sprowadzał sobie podobno z Anglii te szory!...

— Ach, tak?... No, ale czemuś zaraz tak posmutniała, moja malutka?...

— Bo nie cierpię, jak o kim źle mówią!... a na Tomka wtedy zaraz wszyscy sąsiedzi: Huzia!...—wybuchła Janka.—A ja go bardzo rozumiem!...

I, aby ukryć irytację, poczęła z wielką zręcznością drobnych paluszków wpinać we włosy kuzynki trzymaną w ręku różę... Czas już był wielki skończyć ubieranie i zejść do gości—na dół.

I podjeżdżały tak w dalszym ciągu czwórki, trójki, a najrzadziej chyba—pary koni, z przybywającymi wciąż gośćmi, ale nikomu nie przyszło do głowy, jaki to kłopot sprawi gospodarstwu ta przybyła razem „z państwem” nieproszona eskorta...

Bo, niestety, nie dość mieć wówczas zastawione suto stoły w jadalni, a choćby jeszcze, w braku miejsca dla młodych, na werandzie, i nie dość mieć obmyślone „menu” na podwieczorek i kolację!...

Dziedziczka musi jeszcze pamiętać o tej całej rzeszy lokajów i stangretów, rozsiadłych po kredensie, kuchni i przed cugową stajnią, a szafarka, robiąc dla nich kolację „z dwóch dań” (konieczne „z dwóch dań”—tak jest przyjęte!), musi baczenie uważać, aby potrawy były smaczne i obfite, bo inaczej obmowa na całą okolicę!...

A biednemu dziedzicowi przemknęło nieraz przez głowę między jednym a drugim robrem, ile też tam garncy owsa wyszastał na tyle koni karbowy, albo z przejmującym strachem westchnię w duchu:

— Żeby mi tam, Boże, uchowaj, nie zaprószyły ognia w gumnie swemi papierosiskami te obce draby!...

A w małym gabinecie, obok karcianego pokoju, przy oknie, ksiądz proboszcz z byłym postem z miasta gawędzą o tem i owem.

Więc o usposobieniu dzisiejszem w Petersburgu, ostatnich posiedzeniach Dumy, nowych podatkach, wolno idącej oświacie, prawdziwej nędzy w kraju—i braku grosza na najpierwsze potrzeby społeczeństwa... Nagle zaturkotało.

Podnieśli obaj głowy, i przed oczami przeleciał im, jak wicher, wysoki amerykański zaprzężony w dwa karery rysaki.

— Aha, to Staś ze Stojnicy...—objął proboszcz mniej znającego sąsiedztwo towarzysza.

— Ale, jeśli się nie mylę, to rosyjskie rysaki?...

— A tak. Kupił je ponoć od jakiegoś wojskowego. Okazyjnie, za dwa tysiące... Lecą, mój dobrodzieju, jak błyskawica! Zabrał mnie kiedyś chłopak ze sobą do gubernialnego Czylina, tośmy trzy mile machnęli w niespełną godzinę!...

— O, zapewne, to wielka przyjemność—odparł poseł z miasta—ale i kosztowną też być musi!... Drogo zapłacić, kupując, a i utrzymać starannie trzeba i umiejętnie około nich ręki, nie byle fornała—pewnie!...

Wie proboszcz?... Czasami zastanawiam się nad tem, co widzę zagranicą... Tam takie czwórki i takie zaprzęgi spotyka się rzadko i przeważnie u ludzi bardzo zamożnych, w rezydencjach pańskich całą gębą, u grafów, książąt, eksceleńcy... A u nas?... O ile słyszę, to na piętnastu włóczękach ma już dziedzic cugli!... Stylowe szory, czwórki, stangretów... Dalibóg, kto nie wie, myśli, że krezus!...

— A tak, tak!...—pokiwał głową ze smutnym uśmiechem ksiądz.—Zupełna prawda, ale to już taka wiejska fantazja, szlachecka krew... mój dobrodzieju!... Z czasem i to przeminie, bo przeminąć musi... Nabierzemy rozumu i przekonamy się, że to zbytek, na który nas nie stać... Ale nie rzucajmy tak od razu kamieniem!... Miasto, panie mój dobrodzieju, ma kluby, śniadanka, karteczki... balet... A na wsi tego brak!... Pozostała więc jeszcze ta pasyjka z rycerskich czasów wśród naszej młodzieży. Ale myślę, że powoli i to się zmieni!...

— Bo to już taka fantazja... „szczątkowa”!...—dodał starszek z grubym, poczciwym śmiechem.

— Oby!... oby!... W każdym razie miejmy nadzieję, że „szczątkowa”—dodał z westchnieniem, wstając po papierosa, gość z miasta... AWA

Jeden z ostatnich.

Przed 78 laty ujął oręż i stanął do walki w szeregach wojska polskiego! Jako żywa karta historii tych płomiennych czasów, przetrwał wśród nas nieznan, i dopiero śmierć jego ujawniła, iż są jeszcze nieliczne typy wiarusów polskich z roku 1831.

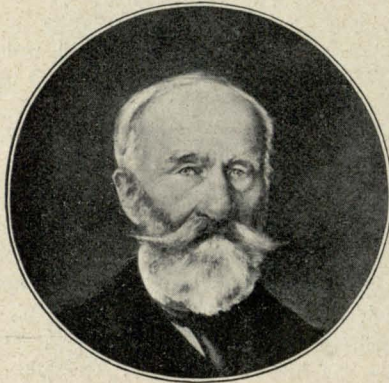
Ś. p. Stanisław Meus, syn Macieja, pochodzącego z Belgii, gdzie nazwisko jego w Brukseli i okolicy posiada licznych reprezentantów, urodził się w Czernichowie pod Krakowem dnia 18 listopada r. 1814.

Nauki pobierał w Liceum św. Anny w Krakowie od r. 1826 do 1 lutego r. 1831, to jest do czasu, w którym rozgłos powstania w Warszawie oderwał go od ławy szkolnej i pociągnął w szeregi.

Początkowo do 20 kwietnia służył w pułku Krakusów im. księcia Poniatowskiego, formującym się w Piotrkowie pod wodzą podpułkownika Wiśniewskiego, od 30 kwietnia w pułku 8 ułanów, sformowanym w Skierniewicach pod dowództwem podpułkownika Piwnickiego i majora Raczyńskiego, w drugim plutonie drugiego szwadronu. Od 1 maja do 28 września był ciągle na linii bojowej, w obozie, w korpusie obserwacyjnym J. Ledóchowskiego. W czasie szturmowania Warszawy znajdował się na terenie walki, a uprzednio brał udział w utarczkach z Rosyanami: w Pułtusk, Zegrzu, Serocku nad Bugiem i pod Nasielskiem, gdzie w sile 2 plutonów 8 pułku ułanów wespół z połową kompanii 20 pułku piechoty i dwiema armatami, w bliskości armii rosyjskiej rozbito cały szwadron Konnopalców i pułk kozaków, walcząc z nimi po polach; prócz poległych wzięto do niewoli 19 Konnopalców i jednego podoficera, a pułkownik poległ na placu boju. Zabrawszy niewolnika i kilka koni, oddziały te wróciły do Modlina a potem udały się pod Warszawę na obserwację obrotu wojsk rosyjskich, skąd po zdobyciu Warszawy dnia 8 września r. 1831 usunęły się wraz z całą armią do Modlina, gdzie naczelnym wodzem został obrany generał Rybiński.

Skoro armia polska wkroczyła do Prus pod naczelnictwem generała Dembińskiego, Stanisław Meus w przebraniu chłopskim przeprawił się przez Wisłę, wrócił do domu rodziców i uczęszczał dalej do Liceum św. Anny do roku 1833, oraz chodził na lekcje do seminarium duchownego, jako aspirant na kleryka. Nie mogąc jednak dostać się do klasztoru, bo go, jako powstańca z r. 1831, nigdzie przyjąć nie chcieli, zaciągnął się w r. 1835 do milicyi wolnego miasta Krakowa, gdzie służył, jako żołnierz drugiej kompanii wołyżerów, pra-

cując jednocześnie w biurze planów przy audytyracji wojskowo-sądowym. W r. 1844 został przez Senat Rządzący wolnego miasta Krakowa mianowany poborcą na rogatkach, a później miewał czasowe zajęcia przy różnych urzędach. W r. 1882 osiadł na stałe w Krakowie, wyczerpany pracą i życiem czynnym, i tam resztę lat spędził w spokoju. Na trzy tygodnie przed śmiercią sędziwy weteran przeniósł się do Gorlic, do syna swego Stefana, gdzie 11 lipca r. 1908 zakończył życie. Dnia 13 lipca r. b. odbył się pogrzeb na dworzec kolejowy w Gorlicach, skąd zwłoki zostały przewiezione do Krakowa i złożone w grobowcu rodzinnym. Ożeniony był z Seweryną Siedlarską z Królestwa Polskiego, z którą przeszło 60 lat wspólnie przeżył. Pozostawił dwóch synów żyjących, Stefana, c. k. notariusza i burmistrza miasta Gorlic, i Rajmunda, architekta w Krakowie.



STANISŁAW MEUS.

Oprócz tych miał jeszcze 5 synów i jedną córkę, którzy w cześć jego zmarli.

* * *

Przytoczywszy daty biograficzne, na zakończenie rzucić muszę garść myśli, jakie mi nasunął orszak pogrzebowy. Będąc w podwawelskim grodzie, wyczytałem, że chować będą dnia 14 lipca r. b. weterana z roku 1831. Zdawało mi się obowiązkiem być na tym pogrzebie, sądziłem, że zastanę rzeszę.

Orszak żałobny poprzedzało grono weteranów z r. 1863, niosących dwa sztandary: jeden rozwiązanego już Tow. Weteranów z r. 1831, a drugi swój. Następnie krzyż, szereg duchowieństwa zakonnego, karawan ze zwłokami i rodzina w liczbie 30 osób. Z ludzi, nie należących do orszaku rodzinnego, było może 4 lub 6 osób najwyżej.

Tak Kraków chowa z własnego impulsu weteranów z 1831 r., tak społeczeństwo żegna tych, którzy przed 78 laty młodość swą rzucili na pastwę niebezpieczeństwa, w najszlachetniejszej intencji służenia Ojczyźnie!

Co innego sąd faktów ze stanowiska politycznego, a co innego uczczenie bohaterskich porywów.

Symbolizm oddaje cześć idei!

Taka cześć należała się pamięci 95-letniego starca, w samym sercu Polski. Garść weteranów z przytułku obecność swą zaznaczyła z urzędu, a gdzie reszta? Nie taki powinien być pogrzeb ostatnich weteranów z tej licznej rzeszy tułaczów, po całym obszarze świata rozproszonych...

Umilkł śpiew kapłanów, pochyliły się dwa sztandary, symbole dwóch pokoleń, zakołysał wiatr liśćmi drzew, a głos ptasząt w gęstwinie splótł się z echem grzmotu dalekiego. Za starym wiarusem zamknięto drzwi grobowca.

Już ich niewielu zostało!...

MIECZYSLAW OFFMAŃSKI.

ZŁOTE LISTKI.

O nocy błoga! ty chłodzisz swem tchnieniem
Skoń rozpaloną,
Ty kryjesz żary przed moim spojrzeniem
Białą zastaną;
Wszystko, co ziemskie, aż do serca bicia,
Uciszasz we mnie
I unoszącym mnie porywom życia
Mówisz: „daremnie!”
I tak mnie trzymasz, jakby urzeczoną,
W swej srebrnej mocy,
Aż duszę moją ukoiś wzburzoną,
O cicha nocy!

M. KONOPNICKA: „Z nocy letnich”.



Oddział lekkiej piechoty albańskiej z kapitanem Niazi bejem na czele, który zdobył biuro telegrafu w Monasterze 23 lipca r. b.

Z Macedonii.

Nigdy, bez wątpienia, nie widzieliśmy w dziejach historii trudniejszej i bardziej godnej politowania sytuacji od tej, w której się znajdowała Macedonia od lat wielu.

Ta nieszczęsna prowincja była polem walk różnych narodowości bałkańskich, oraz doświadczeń mocarstw europejskich, zaprowadzających w niej swe „reformy”.

Każde z nich chciało rządzić, jak u siebie w domu—z wyjątkiem legalnego jej posiadacza. Pewien dyplomata francuski, cieszący się nadzwyczajną powagą, niedawno jeszcze pisał: „Wskaż Grekowi na mieszkańca Macedonii, to powie, że to jest Grek. Wskaż Bułgarowi na tegoż mieszkańca, to ci powie, że jest Bułgarem. I jeżeli wskażesz Serbowi, to Serb uzna go za swego współrodaka”...

Z tego Grecy wyprowadzają wniosek, że Macedonia, zaludniona przeważnie przez Greków, powinna być zwrócona Grecji. Bułgarzy zaś, widząc tylko samych Bułgarów, pretendują również do niej. Wreszcie Serbowie albo też Kuco-Wałasi, nie mniej skrupulatnie skonstatowawszy etnograficzną stronę Macedonii, nie mogą także pogodzić się z myślą, żeby kraj ten przypadł w udziale komu innemu.

W takiej sytuacji właśnie znajdowała się Macedonia jeszcze przed kilkoma tygodniami. Każdy mówił do Macedończyka: bądź ze mną, bo inaczej cię zabije! A ponieważ Macedończyk nie mógł być jednocześnie Grekiem, Bułgarem, Serbem i Wałachem, więc był oczywiście masakrowany. I zdaje się rzeczą nieprawdopodobną, że po tych długoletnich krwawych zapasach istnieją jeszcze Macedończycy.

Lecz w jaki sposób wyjść z tego strasznego położenia? Pozostawał tylko jeden środek, który się sam nastreczał, a mianowicie: pozostawić legalnemu posiadaczowi czuwanie nad spokojem wewnętrznym prowincji.

Metoda była niezła, próba przekonała, że energiczna interwencja majora Niazi beja, który miał pod swymi rozkazami 2000 ludzi, była dostateczna dla ostudzenia zapalu różnych natrętów.

Lecz Europa obawia się, że być może które z państw bałkańskich, licząc w zaślepieniu na swe własne siły, spróbuje uregulować kwestję macedońską z korzystnym dla siebie rezultatem, co by niezawodnie miało bardzo przykre następstwa, gdyż pociągnęłoby za sobą wojnę europejską.

Mocarstwa postanowiły interweniować i, co były w stanie zrobić, to zrobiły, właściwie bardzo niewiele.

W ciągu lat wielu zabawiały się tylko wymianą not dyplomatycznych, opracowywały różne programy reform, zorganizowały żandarmerię i t. p. I to wszystko jednak nie powstrzymywało bezustannego rabowania, palenia i zabójstw, a nawet je wzmagало.

Taki stan rzeczy panował w Macedonii przed proklamacją o przywróceniu konstytucji. Od dnia tego wszystko naraz się zmieniło.

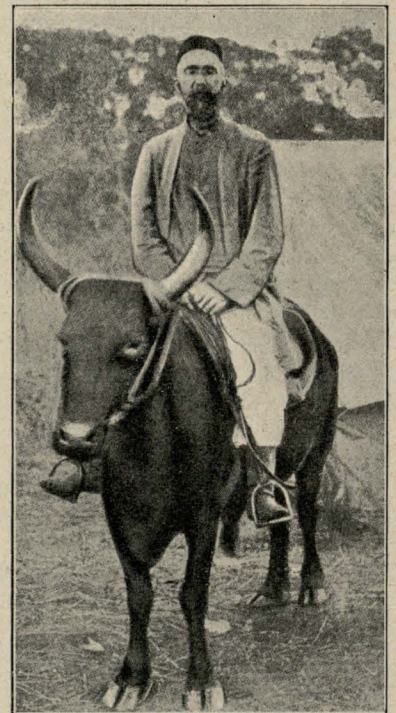
To, czego niedołączona dyplomacja w ciągu lat 30 tu nie była w stanie uczynić, uczynił Niazi bej ze swym dwóchtyścięcym oddziałem, proklamując przywrócenie konstytucji, a jednocześnie i spokoju wewnętrznego w Macedonii.

Młodo-Turcy zrozumieli, że trzeba postawić zamiast różnych hasel narodowościowych jedno hasło ogólne, by wszyscy zrozumieli, że niema już więcej ni Greków, Serbów, ni Kuco-Wałachów, a są tylko sami obywatele otomańscy.

Hasło takie trafiło do przekonania wojujących band, które posiadały broń, poddały się—i zapomniały spój.

Zapewne i Europa zrozumie, że zło uleczone zostało bez jej interwencji.

DR. J. FRUZIŃSKI EFFENDI.



Misyonarz George Grenfell, odbywający w oryginalny sposób podróż w celach propagandy religijnej wśród dzikich ludów kraju Kongo w Afryce.

Z rozmyślań.

I.

Bywają myśli-kłatwy...

Raz zrodzone w duszy

Trwają, jak piętno, ryte żelastwem pęgierza,
Ani ich iza serdeczna z żrenic nie wyprószy,
Ani się błagalnego nie zleknią pacierza,
Ni w radości rozpląną, ni w zwątpieniu posną,
Żyją w nas męką życia i w tej męce... rosna!

II.

Choćbyśmy wszystko wykłeli kochanie,
Zgasili ogień, co się w piersiach pali,
To jeszcze w sercu wbrew woli zostanie
Miłość tej chwili, w którejśmy kochali!

Znowu ją będziem nosić przed oczyma,
Budzącą w duszy pogrzebione hasło,
Tak jak w noc ciemną, chociaż słońca niema,
Wiemy, skąd weszło, i wiemy, gdzie zgasło.

K. LASKOWSKI (EL)

WIECZORY TEATRALNE.

„Czasy saskie“ na scenie Teatru Letniego. — *Dzieje szaleństwa, powodzenia i upadku faworyty królewskiej.* — August II i hrabina Cosel w pięcioaktowej sztuce St. Kozłowskiego. — *Blade odbicie barwnej epoki dziejowej.* — *Niewyraźny wizerunek i wizerunek chybiony.* — *Siły i środki aktorów w „Hrabinie Cosel“.* — *Wznowienie „Książątka“ w Teatrze Nowości.* — *Rococo tu... rococo tam...*



„Hrabina Cosel“. Akt V, scena odwiedzin króla w więzieniu.

...Gdy August II, zwany Mocnym, król polski i elektor saski, zaproponował hrabinie Annie von Hoym, żonie saskiego ministra skarbu, aby została jego metresą, biorąc spadek po nadobnej, lecz już nie miłowanej przez króla, Urszuli Lubomirskiej księżnie Cieszyńskiej, wówczas piękna Anna, późniejsza hrabina Cosel, rzekła płonącaemu wyuzdanym afektem królewskiemu amantowi:

— Najjaśniejszy panie, nie może się to stać... ot, tak najprostszym, dotychczasowym trybem! Trzy próby w pierw spełnisz moje...

— Rozkazuj! — zawołał gorejący król.

— Najpierw oddasz mi swoje serce.

— Do ciebie należy niepodzielnie! — jął zaklinać się król.

— Potem każesz uległemu ci duchowieństwu, aby rozwiódło mię z prawowitym małżonkiem moim, ministrem.

— Duchowieństwo dziś jeszcze stosowny rozkaz otrzyma!

— Po trzecie wreszcie... zobowiązesz się *na piśmie*, że po śmierci królowej (nie życzę jej, strzeż, Boże, nagłej a przedwczesnej godziny ostatniej!), że po śmierci królowej natychmiast zaślubisz wobec Boga i ludzi — mnie!

Ta ostatnia klauzula wydała się narazie królowi — nie do przyjęcia. Hrabina Anna była jednak tak piękna... i nieubłagana... że August Mocny uległ. Wydał jej zażądany skrypt, opatrzony podpisem monarszym.

I rozwiędzona hrabina Hoym, otrzymawszy tytuł hrabiny Cosel, została oficjalną kochanką króla.

Stanisław Kozłowski, w czteroaktowej z prologiem, wielkiej sztuce swojej historycznej, osnutej „na tle“ powieści Krzeczewskiego, a wystawionej w ubiegłą sobotę po raz pierwszy na scenie Teatru Letniego, zapewnia nas, że hrabina Anna szczerze i głęboko kochała Augusta. Nie byłaby mu jednak nigdy uległa, powiada, gdyż honor swój niewieści i szlachecki ceniła nad życie. Wszelako wydało się jej, że, wzięwszy na piśmie wspomniane wyżej zobowiązanie się króla, już przez to samo, aczkolwiek za życia królowej, zostaje *małżonką* króla i że, jako poślubiona mu (na piśmie!), może, bez żadnych już skrupułów, wstąpić do łożnicy monarszej.

Na tej, przyznać trzeba, nadmiernie wyśrubowanej kazuistyce opiera się cały duchowy wizerunek bohaterki sztuki. Jeżeli bowiem wyłudzeniem rzeczono skryptu chce tylko uspokoić jakimi takimi pozorami sumienie własne i opinię publiczną, tedy wypadnie zaliczyć ją do nader pospolitych okazów ludzkiej słabości, maskującej pozorami i wybiegami grunt rzeczy wcale nie nadobny. Jeżeli zaś wierzy istotnie, że karte-lusz, opatrzony podpisem królewskim, może zastąpić wobec Boga, ludzi i jej samej sakrament i stule, wówczas całą tę hrabinę Annę poczytywać nam wolno za okaz wysokiej naiwności ludzkiej, co nie-

zmiernie osłabi współczucie nasze dla tragicznych losów metresy królewskiej, spadającej — z glinianych szcudeł.

Tragizm — pozorny — historycznej przygody hrabiny Cosel (co nam zresztą najsumienniejsz p. Kozłowski w sztuce swej pokazał) polega na tem, że trzęsąca Saksonia, a przede wszystkim skarbem państwa, metresa królewska, ambitna, dumna, wyniosła, żądna władzy, występowała w charakterze istotnej, prawowitej *małżonki* monarchy. Rujnując skarb, chciała też rej wodzić we wszystkich sprawach państwa, a nad królem mieć władzę nieograniczoną. Pomiała wszystkimi, naraziła się każdemu. To też, gdy do walki z „faworytą“ wystąpił feldmarszałek Fleming, mąż stanu i wódz, niezbędny Augustowi II dla odzyskania korony polskiej, my, widzowie bezstronni, stajemy tym razem po stronie „racy stanu“ i nic a nic nas nie wzrusza odwoływanie się hrabiny Cosel do świetlanej pamięci Radziwiłłówny, nie tylko prawowitej, ale i godnej małżonki ostatniego naszego króla z dynastji Jagiellonów.

Fleming zwycięża — bez trudu. August Płochy już serce utracił dla hrabiny. Łaska pańska przehasała się już na pstrym koniu. August Mocny jedzie do Warszawy odzyskiwać tam koronę polską i zdobywać — piękną Dönhoffową. Tymczasem zaś powierzyć może Saksonie — tylko Flemingowi. Fleming — niezbędny mu.

Tedy, z upoważnienia odjeżdżającego króla, wielkorządcą saski żąda od hrabiny — wydania skryptu, kompromitującego... króla polskiego. Hrabinie wciąż zdaje się, że, trzymając ów skrypt w rękę, trzyma deskę zbawienia. Oświadcza, że cyrografu nie wyda! Ukrywa go na piersiach wiernego sługi swego Zakliki („Z życiem go chyba utracę!“ — ślubuje heroiczny famulus).

Oporna hrabina internowana zostaje na zamku

więziennym w Nossen. Tam rozmaite żywioły ku-szą ją. Zjawiają się tacy, którzy podstępem chcą wydstać od niej rękopis królewski; nachodzą ją inni, błagający, aby skrypt, zwróciła dobrowolnie, a król osypie ją dowodami wdzięczności; stary Hoym, ex-małżonek, otwiera jej z powrotem dom swój; feldmarszałek Fleming proponuje jej przy własnym boku intratną posadę metresy. Hrabina odrzuca wyniosłe i z oburzeniem propozycje — wszystkie.

Przybywa wreszcie — przejeżdżający mimo Nossen — sam król. Skoro jednak on, on sam, zażądał zwrotu skryptu, wówczas hrabina, pod wrażeniem demaskującej się obłudę i zdrady Augusta, strzela do króla. Strzał godzi śmiertelnie... w Zaklikę, który rzucił się między króla a hrabinę.

Król nie zaznał szwanku, ale spełniony został zamach królobójczy. Z rozkazu Augusta hrabina Cosel wtrącona zostaje do więzienia w Stolpen — na resztę życia.

W więzieniu też — jak opowiadają dzieje — odrzu-ciwszy wszelkie „ułaskawienia“, wciąż łudząc się, iż jest jednak „małżonką“ króla, rozczytywając się w Biblii i rozpamiętywując zmiany losów koleje, życie w późnym wieku zakończyła.

Ujmując przeto wrażenia nasze w najtreściwsze słowa: oglądaliśmy na scenie postać psychologicznie niejasną, kobiety, przechodzącej najoczywistsze srogie udręczenia, lecz nie budzącej współczucia. Współczucie zaś widzów i słuchaczy powinno towarzyszyć wszelkiemu tragizmowi. Inaczej rzetelnego tragizmu niema. Niema też tragizmu w sztuce p. Kozłowskiego. Są tylko perypetye, początkowo biegnące w dość powolnym tempie, wywołujące żywszą akcję dopiero w akcie czwartym, a przewlekające akt ostatni.

Widzieliśmy dalej współbohatera sztuki, tracącego wiele na porównaniu z obrazem Augusta II Mocnego, wdrożonym w wyobraźnię naszą przez najwiarogodniejsze świadectwa historyków. Poeta dramatyczny nie tylko nie ożywił barwami wizerunku historycznego, lecz go nawet nie skopiował sumiennie. Pod bładą i pospolitą mową scenicznego Augusta, pod jego zwierzeniami się „powiernikom“ (akt drugi), pod jego płytkością indywidualną w scenach, w których bezpośrednio udział bierze, zapodział się gdzieś przede wszystkim wszelki — majestat. Gdyby Augusta II pokazał nam p. Kozłowski wyłącznie tylko na tle — alkowy, mielibyśmy prawo wymagać oglądania owej siły demonicznej lub uroczej, którą zdobywał nie tylko ciała niewieście, lecz i — serca. Gdyby Augusta II pokazał nam p. Kozłowski tylko jako króla, traktującego „amory“ — zabawkowo, mielibyśmy prawo wymagać, aby stanął przed nami jeden z najprzebieglejszych i najbezwzględniejszych polityków XVIII wieku oraz współ-aktor wielkiej chwili dziejowej.

Autor „Hrabiny Cosel“ hojny jest i nie szczędził nam prezentacji wielorakich stron współbohatera swej sztuki. I — nie osiągnął nawet plastyczności tej postaci niepospolitej. Lowelas i król stopili się w niewystarczająco wyrazistą figurę przeciętnego uwodziciela, wywierającego wrażenie niesmaczne dlatego głównie, że... miał to być przecie August II.

W otoczeniu dość rojnym króla i hrabiny przeważa zwłaszcza szkicowość konturów i anemiczność życia artystycznego niejednej postaci, jak np. Fleming lub ks. Lubomirska, które by mogły dać wielce interesujące sceny epizodyczne. Utrzymujący się w ciągu trzech pierwszych aktów na pierwszym planie hr. Hoym ma dopiero w walnej rozprawie z żoną, która mu oznajmia, że zostaje kochanką króla, akcenty żywsze i głębiej z duszy czerpane. Zaklika



„Hrabina Cosel“. Akt V, scena ostatnia, w więzieniu.

najzupełniej błady. Całość sztuki—jak zresztą zawsze u autora wielu utworów scenicznych o szerokim nastroju i efektach celowych—skomponowana umiejętnie, przejrzysto i pewną ręką. Nie uniknął tylko p. Kozłowski rozwlekłości, a reżysera—nieodzownych skróceń. Teraz już, gdy sztuka raz po raz idzie na scenę, dokonać radykalnych przeróbek trudno. Oczywiście jednak zbyt mała liczba prób nie dała czasu do wykończenia sztuki—za kulisami.

Rola hrabiny Cosel przypadła w udziale p. Natalii Siennickiej. P. Siennicka, posiadająca niewątpliwy talent oraz panująca swobodnie nad techniką aktorską, nie posiada jednak przedewszystkiem warunków zewnętrznych dla odtwarzania heroiny, która na dworze saskim za Augusta II uchodziła—jak o tem szeroko rozprawiają w sztuce—za piękność nad pięknościami. Dla dumnej, nieokiełzanej wyniosłości, cechującej hrabinę Cosel, ma nadto p. Siennicka jeden tylko ton mowy i jeden tylko ruch mimiczny. To nie wystarcza. Pani Siennicka doskonale tylko odtwarza liryczne momenty pieśniodawnej zalotności. Ale te w roli hrabiny stanowią rzadkość przelotną. P. Knake-Zawadzki (król August) pogłębił brak królewskości w królu; deklamował, bez akcentowego wyrzeźbienia. Reszta artystek i artystów, okrom może p. Wilczyńskiego (hr. Hoym) nie dorzuciła do papierowego rękopisu sztuki żadnej twórczości aktorskiej. A przy dobrych chęciach dałoby się coś niecoś w tym względzie uczynić.

Wystawiono oryginalny utwór dramatyczny, dający zresztą pole do dekoracyjnych efektów, z wzorowym reżysem pietyzmem. Na wyróżnienie zwłaszcza zasługuje: akt drugi, dziejący się na wielkim tarasie *roccoco* dreźnieńskiej rezydencji królewskiej. Klomby drzew żywych na scenie; oświetlenie stylowe kandelabrami

i żyrandolami świec; w głębi, pod światłem księżycowym, panorama na Elbę. Pomysłowa też i bardzo staranna *mise-en-scène* ostatniego aktu, rozgrywającego się w więzieniu hrabiny Cosel.

Kostiumy (francuskie) okazałe, stylowe i świeże. Całość widowiska—zajmująca i malownicza.

* * *

P. S. Teatr Nowości wznowił dystygowaną i subtelną operetkę Lecocq'a z r. 1878, popularne do dzisiaj „Książętko” („*Le petit duc*”).

Jeżeliby komu przyszło na myśl nazwać te trzy akty, ujedwabnione, upudrowane i na „czerwone obcaski” wzięte, operką komiczną, mógłby na uparte go dać wyraz temu pogładowi, nie narażając się na śmieszność. Wszystko w „Książętku” podniesione na wyższą artystyczną stopę, niż w przeciętnym parodowo-kupletowym bawidełku—aż do libretta włącznie.

Francuska do szpiku kości, dobrze renomowana spółka: Meilhac i Halevy, dała Lecocq'owi pod muzykę opowiadkę prawie heroiczną, *pur sang* w stylu Ludwika XV.

Ożeniono—dla względów fortuny i parenteli—18-letniego księcia de Parthenay z 16-letnią babiną, którą srodze miłuje. Ach, co za szczęście! Nie, wcale—właśnie, że smutek nielada. Przezorne rodziny obie, dokonawszy dzieła, postanowiły rozłączyć zaślubioną parę—na dwa lata. Niech... podrosną: pan młody i panna młoda! Dla zabezpieczenia „księżnej” od ewentualnych upominań się księcia o... swoje prawa, księżnę osadzono w klasztorze-pensjonacie w Luneville.

Ale buńczuczne książętko dorywa się do małżonki swojej w przebraniu. Wtem jednak—w momencie kiedy na czele „swego” regimentu zabiera się szturm

przypuścić do klasztoru, wojska nieprzyjacielskie czynią inkursję wojenną w granice Francji. Książętko daje pokój prywatnie i pędzi na plac boju. Tam istnych dokazuje cudów waleczności, że król w nagrodę pozwala mu—przed dwuletnim terminem—osiąść rodziną a ukończoną małżonkę.

Takim to rzeczy składem waleczność rycerska nagrodę bierze zasłużoną—przy akompaniamencie zręcznie skonstruowanej zarówno akcji scenicznej, jak muzyki i śpiewów. Bardzo... bardzo to wszystko zręczne, smaczne i porcelanowo delikatne. Jaki np. typowy chórek paziów, witający rozseparowanego, z noskiem na kwintę, małżonczka:

Il a l'oreille basse

Ah! le pauvre mari!

Pour lui quelle disgrâce,

Quel contre-temps pour lui!

Tak—w oryginalnym francuskim—należałoby, naszym skromnym zdaniem, zwracać się do panny Van Loo (Książętko), śpiewającej przecie i mówiącej na scenie rodzimym językiem i tekstem Meilhac'a i Halevy'ego.

Juści jednak, nie sfrancuzić operetki naszej z poniedziałku na wtorek... Zresztą p. Van Loo tak świetnie gra i śpiewa, z taką artystyczną finezyą i werwą, pokonywując z uśmiechniętą walecznością wszelkie trudności roli, że—gdybyśmy nawet jednego złamanego słowa francuskiego nie rozumieli, jeszczebyśmy chyba rzetelnej żażyć mogli satysfakcyi. Nie?

A cóż dopiero mówić o... Warszawie, obyłej przecie od czasów „króla Stasia” ze wszelką nadsekwąszczyzną! Prawda?

Tedy miłemu gościowi z Franków kraju wypadnie chyba rzec nam „staropolskie”;

— *Merci!*

CZESŁAW JANKOWSKI.

Niedziela w Dolinie Szwajcarskiej.

Na bardzo dobry pomysł wpadają w ostatnich czasach inicjatorzy rozmaitych zabaw, wprowadzając do programu między innymi rozrywki na świeżym powietrzu dla dzieci i młodzieży. Szczególnie Dolina Szwajcarska kilkakrotnie już urządziła taką próbę i, rzecz naturalna, zawsze z pomyślnym rezultatem, a także ku ogólnemu zadowoleniu starych i młodych. Przyjemnie jest patrzeć, jak „milusińscy” obojga płci, poustawiani w karne szeregi, maszerują przy dźwiękach kapeli z rozpromienionymi twarzyczkami, śmiejąc się radośnie i zapominając nawet o rodzicach, ku którym z początku posyłają lękliwe spojrzenia. Gdy marsz jednak zrobi swoje, wprowadzi w nastrój, o który zresztą bardzo łatwo, rozbawiona dziatwa dzieli się na osobne grupy i pod kierownictwem specjalnie zaproszonych osób rozpoczyna wesołe gonitwy, gry i rozrywki, krzykiem i kaskadami śmiechu oznajmiając swe dobre, pogodne usposobienie.

NASZE RYCINY.

Edward von Gebhardt. „Pobożni słuchacze kazań w górach”, „Chrystus wypędza kupczących ze świątyni”, „Kazanie w górach”. Estończyk z pochodzenia, Edward von Gebhardt, zaznawszy rozkoszy powodzenia w Niemczech, zupełnie przejął się duchem sztuki niemieckiej. Hołduje przytem wielkim jej tradycjom i stara się obrazy swoje utrzymać w charakterze średniowiecznego z okresu reformacji. Sztuka jego jest przeniesieniem scen biblijnych na grunt średniowieczny i późniejszy, to znaczy, że wszystkie sceny wielkiej legendy Chrystusowej dzieją się na obrazach Gebhardta wśród Niemców, ubranych w kostiumy z przed lat 400. Nadaje to całej



Niedziela w Dolinie Szwajcarskiej.

twórczości Gebhardta piętno bardzo charakterystyczne, szczególnie zaś wymownie odbija się na traktowaniu postaci Zbawiciela, który u Gebhardta więcej przypomina Obermergau, niż Nazaret. Jest to próba realizmu, zastosowana do rzeczy duchowych i świętych. Obrazy Gebhardta mają wielkie powodzenie: maluje on freski w kościołach (np. Düsseldorfie) i jest bardzo wysoko ceniony przez świat krytyki za zupełne opanowanie środków swojej sztuki i za siłę wyrazu niektórych postaci, utrzymanych w rdzennym niemieckim charakterze. W numerze niniejszym podajemy trzy dzieła tego malarza. Treści ich bliżej tłumaczyć nie trzeba—tytuły o niej dość konkretnie powiadają widza.—G. Spangenberg. „Pochód śmierci”. Na obrazie niniejszym chciano wyrazić śmierć przyczyną, nieznacząco wciskającą się w pochód życia. Śmierć więc przybiera pozę lekką i swobodną, nikt nie wie o jej obecności,

możnaby ją wziąć za przechadzającą się damę, uśmiechającą się filuternie. Autorowi pomysł ten udał się w zupełności. Nie znać istotnie śmierci w obrazie. Uczują ją tylko ci, których ona uchwyci nagle w swe szpony.

KRONIKA.

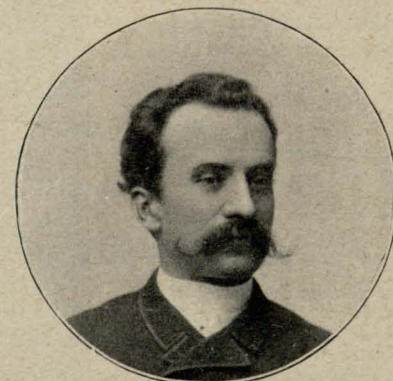
Wieczór Norwidowski. Powziąwszy myśl uczczenia przypadającej w roku bieżącym 25-letniej rocznicy zgonu Cypryana Norwida, grono uczniów szkoły aplikacyjnej przy warszawskich Teatrach Rządowych urządziło w pierwszych dniach września r. b. w mniejszej sali Filharmonii „Wieczór Norwidowski”, na który złożył się: odczyt młodego publicyisty, dramaturga i malarza Tadeusza Ulanowskiego: „O Norwidzie i jego twórczości”, utwór Norwida „Noc tyśiączna druga” i recitativo na głosy z „Myśli o sztuce” Norwida.

Odczyt „Młoda polska w pieśni”.

Znany poeta, p. Zygmunt Różycki wygłosił pod powyższym tytułem odczyt w Konstancinie, w dniu 30 b. m.

Zmarli.

W dniu 19 b. m. zmarł nagle naczelnik biura dyrekcji głównej, ś. p. Franciszek Sobestjański, długoletni pracownik Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Zmarły doskonale był obeznany z interesami i sprawami naszej instytucji ziemskiej, w której ku ogólnemu zadowoleniu swoich podwładnych i zainteresowanych zajmował ważny i odpowiedzialny postereunek. Prócz kolegów biurowych zmarły pozostawił po sobie dobre wspomnienie i szczyry żal wśród członków Towarzystwa wioślarskiego, które gorąco popierał, pełniąc niejednokrotnie rozmaite honorowe misye. Ś. p. Franciszek Sobestjański po-



Franciszek Sobestjański.

zostawia po sobie pamięć bardzo sumiennego pracownika i zacnego, pełnego czynności człowieka.

Szanownych prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego” prosimy o wniesienie opłaty na drugie półrocze r. b.

N A D E S Ł A N E.

Filharmonia Warszawska

SEZON 1908/9.

Niniejszem ogłasza się ABONAMENT na sezon ZIMOWY 1908/9 na

a. **Wielkie koncerty symfoniczne w Filharmonii.**

b. **Przedstawienia Oper w Teatrze Wielkim.**

a) **Wielkie koncerty symfoniczne** dawane będą w **piątki**. Koncerty instrumentalno-wokalne, oratoryjne i wogóle zbiorowe z udziałem zespołów i solistów w **środy**, nadzwyczajne w **piątki**. Wieczory pieśniowe muzyki kameralnej w **soboty**. Koncerty popularne w **niedziele**. Wielkich koncertów abonamentowych symfonicznych będzie **siedm**, a mianowicie:

1. W piątek 20 listopada pod dyrekcją pro. Artura **Nikischa**.
2. W piątek 4 grudnia z udziałem Antoniego van **Rooy**.
3. W czasie miesiąca grudnia z udziałem Ignacego **Paderewskiego**.
4. W piątek 29 stycznia 1909 r. z udziałem Jana **Kubelika**.
5. W piątek 5 marca z udziałem Maurycyego **Rosenthala**.
6. W piątek 19 marca pod dyrekcją Feliksa **Weingartnera**.
7. W piątek 30 kwietnia z udziałem Marceliny **Sembrich-Kochańskiej**.

Ceny miejsc dotychczasowe z ustępstwem 10 proc. w abonamencie. Opłata z góry lub w 2-ch ratach.

b. **Przedstawienia abonamentowe oper w Teatrze Wielkim dwanaście** w serii **A** i **dwanaście** w serii **B** odbywać się będą we **wtorki**.

Abonament lit. A.

1. Sobota (wyjątkowo) 10 października „**Śpiewacy Norymberscy**“.
2. Wtorek 27 października „**Aida**“ (z udz. **M. Gembarzewskiej** i **J. Dygasa**).
3. Wtorek 10 listopada „**Cyrulik Sewilski**“ (z udz. **Titta Ruffo**).
4. Wtorek 24 listopada „**Demon**“ (z udz. **Titta Ruffo**).
5. Wtorek 1 grudnia „**Madame Butterfly**“ (z udziałem **Gemmy Bellincioni**).
6. Wtorek 15 grudnia „**Salome**“ (z udz. **Bellincioni**).
7. Wtorek 19 stycznia „**Thais**“ (z udziałem **Carmen Melis** i **M. Battistiniego**).
8. Wtorek 2 lutego „**Eugeniusz Oniegin**“ (z udz. **M. Battistiniego**).
9. Wtorek 23 lutego „**Zemsta za mur graniczny**“.
10. Wtorek 16 marca „**Lohengrin**“ (z udziałem **Actté** i **F. R. Guardabassi**).
11. Wtorek 6 kwietnia „**Beniowski**“.
11. Wtorek 4 maja „**Traviata**“ (z udz. **Marceliny Sembrich-Kochańskiej**).

Ceny miejsc zeszluszczonych z dodatkową opłatą na rzecz emerytów Teatrów Warsz. Opłata z góry lub w 2-ch ratach.

Bilety sprzedają się **wyłącznie** w Kasie Filharmonii (Moniuszki 5) od godz. 10 rano do 6 po poł.

Abonament lit. B.

1. Wtorek 13 października „**Śpiewacy Norymberscy**“.
2. Wtorek 2 listopada „**Cyrulik Sewilski**“ (z udziałem **Titta Ruffo**).
3. Wtorek 17 listopada „**Rigoletto**“ (z udziałem **Titta Ruffo**).
4. Wtorek 8 grudnia „**Madame Butterfly**“ (z udziałem **Gemmy Bellincioni**).
5. Wtorek 29 grudnia „**Cyganerya**“ (z udziałem **Tosca Titty**).
6. Wtorek 26 stycznia „**Thais**“ (z udziałem **Melis** i **Battistiniego**).
7. Wtorek 9 lutego „**Eugeniusz Oniegin**“ (z udziałem **M. Battistiniego**).
8. Wtorek 16 lutego „**Ernani**“ (z udz. **Battistiniego**).
9. Wtorek 2 marca „**Zemsta za mur graniczny**“.
10. Wtorek 23 marca „**Romeo i Julia**“ (z udziałem **Actté** i **Guardabassi**).
11. Wtorek 12 kwietnia „**Beniowski**“.
12. Wtorek 11 maja „**Lucya z Lamermooru**“ (z udz. **Marceliny Sembrich-Kochańskiej**).

Zwracamy uwagę na podręcznik „**Samouczek**“ Pl. v. Reussnera, zob. ogł. str. 5

FORTEPIANY,
PIANINA, PIANOŁE,
ORGANY,
MELODYKONY



GEBETHNER i WOLFF
Warszawa, Krak.-Przed. 17

Lecznica D-ra Tarnawskiego
w Kosowie (St. kolei Zabłotów) w Galicyi

w połud.-wschodnich Karpatach, otwarta od 1 maja do końca października. Leczenie wodą, dietą (także jarska i owocowa), kąpielami słonecz., gimnastyką i przysposabianie do życia higienicznego.

SALON „ARS”

Kraków, ulica Św. Jana 1 (I piętro).

Nieustająca wystawa dzieł sztuki i sprzedaż obrazów najznakomitszych artystów polskich. Salon otwarty codziennie od 10 do 1 i od 2 do 5.

Denaturowany spirytus.
Spirytus stały w puszkach,
spirytusowe lampy, palniki,
kuchenki, żelazka i t. p.
B-CIA WIŚNIEWSKY i S-ka
Foksal 18, Telefon 3068.

Tow. Akc. **Haberbusch i Schiele**
Browaru
poleca **PIWO PILZEŃSKIE**.

J. MIECZKOWSKI, Fotografia
Marszałkowska III. Telefon 16.81.

„**F. KOZŁOWSKI**” Telef. 39-99 NAJTAŃSZE ŹRÓDŁO: Lamp, Porcelany,
OBECNIE Fajansu, Szkła, Galanterii, Noży, Widelcy
Warszawa, Rymarska 7, róg Lesznej **S. Nowacki** etc., etc. Wynajmuje nakrycia stołowe, plastery, bieliznę, krzesła, stoły.

ŻYRANDOLE
kościelne i salonowe do świec i gazu.
Wielki wybór. Najniższe ceny. Reperacje
i odnawianie żyrandoli.

W wielkim wyborze przyzmy kryształowe do żyrandoli. Jedyny palnik naftowo-żarowy bez wszelkich komplikacji 60% oszczędności nafty. Komplet rub. 3.

KORALE PRAWDZIWE czerwone, różowe i białe

TOREBKI damskie,

PASKI DAMSKIE i dla dzieci w wielkim wyborze

POLECA

STEFAN POREBSKI

Kraków, Rynek 32, linia C-D

ALFONS MANN

Warszawa, **Tłomackie 3**.
Fabryka założona w 1819 r.

Wyroby stalowe ostre, tylko w wyborowych gatunkach: Brzytwy. Maszynki do golenia i do strzyżenia. Noże ogrodnicze. Sekatory.

C-SKORYNA i S-ka FABRYKA MASZYN
I KAMIENI MŁYŃSKICH
BUDOWA MŁYNÓW
WARSZAWA-PRAGA WSZELKIE ARTYKUŁY MŁYŃSKIE.
OLSZOWA 14. TURBINY, TRANSMISJE i t. p.

W. CYBULSKI i S-ka
Warszawa, Nowo-Senator. 7.
Telefon 60-29
Wyroby Siodlarsko-Rymarskie i Sportowe.

LUDWIK SZUFA
KRAWIEC
KRAKOW TELEFON 671

J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI Krakowskie-Przedmieście Nr 19 dom własny

BOGUSŁAW HERSE

WARSZAWA-Marszałkowska 150

Telefon N 82-30

N 15-30



Dywany Firanki, Story

Bezplatna wysylka duzego, bogato ilustrowanego katalogu FIRANEK, STOR, ROLET, KAP, KOLDER.

Bezplatna wysylka rysunkow i fotografii DYWANOW z cenami i kosztorysami.

Rynek glów. linia AB róg ul. Floryañskiej
KRAKÓW Magazyn Nowości B. WIERZEJSKI

Ceny bardzo nizkie. Wybór wielki. Towary tylko polskie, krajowe.

SZKOŁA KAROLA SCHULZA

w Warszawie, ul. Św. Barbary 10.

Z INTERNATEM

Przyjmuje chłopców analfabetów i z początkami, i przyspasabia ich do wszystkich średnich zakładów naukowych. Szkoła kładzie główny nacisk na poglądowość w nauczaniu. Przy szkole znajduje się bogate muzeum szkolne, zawierające przeszło 10,000 okazów do poglądowego nauczania, które zwiedzać mogą wszyscy, interesujący się wychowaniem młodzieży.

ZAKŁAD FREBLOWSKI przyjmuje chłopców i dziewczynki od 3—7 lat.

Zapisy przyjmuje się codziennie od godz. 9 do 6.

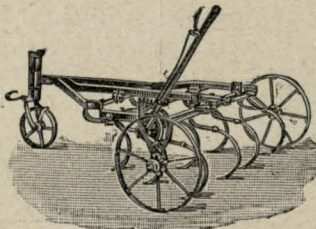
Lekcje rozpoczną się 2-go września.

Dr. I. Wapiński ord. klin. szpitala Świętego Łazarza Nowosenatorska 10. Telefon 942. Choroby skórne i wener. Do 12 rano i od 5—8 w.

MARIENBAD „Haus Hamburg” dr. St. Benedykt Kwiatkowski, b. I Asystent kliniki chorób wewnętrznych Uniwersytetu Jagiellońskiego, ordyn. od 1 maja do 1 października.

Wielki wybór najnowszych
Kultywatorów sprężynowych
zastosowanych do wszelkich rodzajów
gleby i do różnej siły pociągowej.

Wypróbowanej



dobroci

Szczegółowe opisy przesyłam na żądanie

ALFRED GRODZKI
Warszawa, 33 Senatorska.

MAŁECKI



Fabryka
Fortepianów
i Pianin

PIEKNA Nr 1 (róg Alei Ujazdowskiej) tel. 170,65.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa

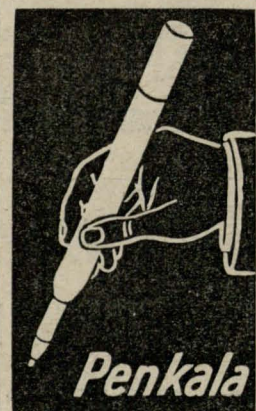
W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9
pośredniczą

w prenumeracie pism

krajowych i zagranicznych

po cenach redakcyjnych.



DO NABYCIA WSZEDZIE

REPREZENTACJA

Nachtlicht & Kamiński
Warszawa, Tlomackie 1.

PLYN
Cena flak.
rub. 1.

HEMOGEN MAGISTRA KLAWE

najracjonalniejszy preparat żelaza.

stosowany przy ogólnym osłabieniu, małokrwistości, osł. nerwów i u rekonwalescent. każdego wieku. Uznany przez powagi lekarskie, jako **dzielny środek krwiotwórczy i pobudzający apetyt.**

Wyrób laboratorium apteki Magistra Klawe, Warszawa, 10 Pl. Św. Aleksandra.

Bracia ŁOPIEŃSCY polecają **BRONZY** Magazyn **Krakowskie Przedmieście** **Nr 15** dom Hrabiego J. Potockiego

Redaktor Dr. JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesł. do redakcji, nie zwraca się

Druk Piotra Laskanera i S-ki, Warszawa